NR 24 (1948) 16 CZERWCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

Gdy praca WYCZERPUJE

ISSN 0208-8045
24 INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- DLACZEGO PRĄD JEST TAKI DROGI?
- AUSCHWITZ WEDŁUG ROTMISTRZA PILECKIEGO

eprasa.pl 57937e552f

REPUBLIKA

Najważniejsi w Polsce goście. Kluczowe tematy. Odważne pytania. Mocne opinie. Istotne analizy. Rozmowy, które wyznaczają kierunek. **Tomasz Sakiewicz** zaprasza na program dla widzów, którzy chcą znać prawdę.

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę można oglądać w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

epraesa.pl 57937e552f

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

W czasie najostrzejszej fazy przedwojennej radzieckiej industrializacji w roku 1929 Stalin wprowadził tzw. neprerywkę. Pomysł polegał na tym, by gospodarka pracować mogła w stanie ciągłym i bez żadnych przerw. Aby to osiągnąć, podzielono wszystkich pracowników na pięć kolorów. Każdy kolor miał pracować przez pięć dni, a potem odpoczywać przez jeden dzień. W efekcie zaniknął zupełnie wspólny dla wszystkich dzień wolny. Dla każdego koloru przypadał on po prostu kiedy indziej.

System budził wielkie niezadowolenie społeczeństwa. Oznaczał bowiem, że bardzo trudno było mieć kiedykolwiek czas wolny razem ze swoimi bliskimi albo przyjaciółmi. Z tego powodu neprerywka została już po dwóch latach rozmiękczona, a potem zniesiona całkowicie. I nikt po niej na pewno nie płakał.

Przypomina mi się ona za każdym razem, gdy próbując się umówić z którymś z dawno niewidzianych znajomych, słyszę w odpowiedzi: „Nie bardzo mogę, bo mam w weekend robotę" albo „Bardzo bym chciał, ale wiesz, robię teraz w soboty i niedziele te drugie studia". Gorzka to, ale chyba i prawdziwa konstatacja, że to, z czego nawet Stalin był się wycofał, kwitnie sobie w kapitalizmie w najlepsze. Neprerywka w scenerii XXI wieku.

Faktycznie, obłożenie pracą w warunkach realnej gospodarki rynkowej nie jest – delikatnie mówiąc – najbardziej rozumne ani tym bardziej efektywne. Przez sporą część swojego zawodowego życia człowiek jest zazwyczaj kompletnie przeciążony pracą. Z obawy (zupełnie zresztą uzasadnionej) przed utratą pracy i zdolności do utrzymania statusu współczesny człowiek łączy bardzo różne formy zawodowej aktywności, dokonując przy tym nierzadko cudów ekwilibrystyki. Wymaga to diablo dobrej organizacji, bo gdy jej zabraknie, to praca się rozlewa, podtapiając życie prywatne, a czasem topiąc je zupełnie. Ze starej dobrej zasady 3 x 8 (8 godzin na pracę, 8 na odpoczynek i 8 na sen) robią się potworne kombinacje. Parę lat takiego braku higieny i kłopoty ze zdrowiem fizycznym albo psychicznym pewne jak amen w pacierzu. Albo jak to, że w weekend znowu gdzieś trzeba będzie jechać, albo nad czymś pracowym przysiąść. Zjawiska takie jak telepraca, samozatrudnienie czy praca na platformach do świadczenia usług (typu Uber) pogłębiają to zjawisko jeszcze bardziej. Życie w ciągłym niedoczasie staje się chorobliwą normą.

W tym samym czasie inna niemała część starszych pracowników obawia się, że na ich umiejętności i kompetencje nikt nie czeka. Są wypychani z rynku, a jak pracę stracą, to często nie ma już dla nich powrotu. To także rodzi gniew, frustracje i poczucie niespełnienia, nie mówiąc już o troskach wynikających wprost ze spadku zarobków.

Naiwnością byłoby myślenie, że tym problemom da się zaradzić jedną genialną regulacją, którą da się u prawodawcy wylobbować i przypilnować, by weszła w życie. Bardziej skuteczna wydaje mi się ciągła dbałość o to, by życie zawodowe wokół nas organizować, mając to wszystko na względzie. Związek zawodowy takimi rzeczami może się zajmować i w wielu miejscach tym właśnie się zajmuje. Oby jak najczęściej i jak najskuteczniej.

Bez tego tak łatwo popaść w skrajności. Albo zachlastać się siedzeniem na czterech etatach, albo utonąć we frustracji, że nikomu już nie jestem potrzebny.

Obłożenie pracą w warunkach realnej gospodarki rynkowej nie jest – delikatnie mówiąc – najbardziej rozumne ani tym bardziej efektywne. Przez sporą część swojego zawodowego życia człowiek jest zazwyczaj kompletnie przeciążony pracą.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl 57937e552f

16.06.2026
WYDANIE Nr
24

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Gdy praca wyczerpuje

6	Kierowcy. Każdy dzień jest najdłuższy
10	Wypaleni misją
14	Polska republika zmęczonych
18	Pozostawieni sami sobie

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Jako odpowiedzialny patriota. Wywiad z Donaldem Tuskiem 22

KRAJ

(Nie)chciany aneks WSI znów trafi do sejfu 24
Najgorsi ministrowie Tuska 28
Twórca kontra masy 32
Donalda Tuska odpowiedzialność za słowo 36

GOSPODARKA

Dlaczego płacimy za prąd dwa razy drożej? 40
Atomowy Bełchatów 46

ZAGRANICA

Land Ukraina 50

KULTURA

Lubię, kiedy dużo się dzieje. Rozmowa z EleeS 58
Tożsamość Zagłębia Dąbrowskiego 62

HISTORIA

Planeta zwana Auschwitz według rotmistrza Pileckiego 64

RELIGIA

Jan Paweł Aeltermann, Niemiec, męczennik hitleryzmu 68

ZWIĄZEK

Co w związku 70
Za nami XXVII Spartakiada Przemysłu Spożywczego 72

FELIETONY:

OKRASKA 5
GAC 9
PŁUŻAŃSKI 45

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 21
KARUZELA Z BLOGERAMI 27
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 54
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 57
PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 57937e552f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Najbiedniejszym daje się minimum

Od kilku dni, jak zwykle o tej porze roku, media piszą, że „Rada Ministrów pochyli się nad wynagrodzeniami". Chodzi oczywiście o pensję minimalną na umowie o pracę oraz o stawkę godzinową. Strona społeczna i związkowa co roku proponuje jej znaczący wzrost. Przedsiębiorcy, zatrudniacze, a także dobrze sytuowani, a zawistni ludzie chcą, by płaca ta wzrosła jak najmniej, była jak najniższa – albo żeby w ogóle jej nie było. Rząd wraz z deklaratywnie lewicową ministrą Agnieszką Dziemianowicz-Bąk zdaje się niestety przyklaskiwać ich ideom. Sama ministra stara się co prawda palić Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek, i coś tam rzucić tłumom pracowników, nie zniechęcając przy tym do siebie lobby pracodawców, kiepsko jej to jednak idzie. Rok w rok proponowany wzrost jest niewysoki. Oznacza korektę, a nie rewolucję.

Płaca minimalna w gospodarce ma w 2027 r. wynieść 4950 zł brutto, co oznacza jej wzrost o marne 3%. Pensje zawsze podaje się w kwotach brutto, ale w tym wypadku ma to akurat ponurą wymowę, zwłaszcza gdy mówiący zapomni tego słowa dodać. Na rękę płaca najgorzej zarabiających wyniesie 3704 zł. To tą kwotą powinno się w mediach i w codziennych rozmowach operować.

Jak zawsze ci, którzy nigdy tak niewiele nie zarabiali albo od dawna tak mało nie zarabiają, wyrażają głośno opinie, że to i tak za dużo.

Po ogłoszeniu propozycji rządowej (bo, nie zapominajmy, to jest wciąż propozycja, tylko dziwnym trafem zazwyczaj bardzo wiążąca) odbędą się tzw. konsultacje społeczne. We wspólnym stanowisku Forum Związków Zawodowych, Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych oraz NSZZ „Solidarność" podały, że płaca minimalna w 2027 roku miałaby wzrosnąć o 8,2 proc., czyli do wysokości 5200 zł brutto. Nie warto mieć jednak złudzeń – na to przy obecnych nastrojach politycznych nikt się nie zgodzi. Smutne jednak, że nie zgodzi się na to także „lewicowa" ministra. Jej propozycja jest co roku niższa od związkowej.

Strona pracownicza solidnie argumentuje swoje tezy. Twierdzi, że obecna płaca minimalna nie zapewnia realnego wzrostu siły nabywczej po uwzględnieniu inflacji, a i jej relacja do przeciętnego wynagrodzenia pozostawia wiele do życzenia. Tymczasem ministerstwo, przy prognozowanej na 2027 r. inflacji na poziomie 3%, proponuje „wzrost" o 3,7%. To de facto granica błędu.

Liberałom zawsze chodzi o to, żeby płace ubogich stały w miejscu. Obecny rząd żyruje taką narrację i obsługuje takie interesy. Między innymi o to walczono tak zajadle w wyborach parlamentarnych z 2023 r.

Nie o demokrację, nie o tak zwane standardy. Niszczy się bowiem otwarcie jeden z nich: godność ludzi pracy. Jak mają się czuć 3 mln osób – tylu z nas w Polsce zarabia płacę minimalną – gdy ich wynagrodzenie stoi w miejscu albo i jest realnie pomniejszane?

Straszliwa jest ta niechęć do tych na dole.

eprasa.pl 57937e552f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

KIEROWCY

Każdy dzień jest najdłuższy

Europejska Federacja Pracowników Transportu (ETF) oraz afiliowany w niej NSZZ „Solidarność" apelują, że kierowcy samochodów ciężarowych i autokarów są przemęczeni. Ich warunki pracy wpływają na bezpieczeństwo **wszystkich użytkowników dróg**, zarówno w Polsce, jak i w Europie. Co trzeci z nich deklaruje, że co najmniej raz zasnął za kierownicą.

Barbara Michałowska

21 czerwca po raz czwarty obchodzony będzie Międzynarodowy Dzień Przeciwdziałania Zmęczeniu Kierowców (Day Against Driver Fatigue) organizowany przez Europejską Federację Pracowników Transportu (ETF). Jego data nie jest przypadkowa. To najdłuższy dzień w roku, co symbolicznie nawiązuje do sytuacji kierowców zawodowych, dla których „najdłuższy dzień" to często każdy dzień ich pracy. Celem inicjatywy jest zwiększanie świadomości społecznej na temat zagrożeń wynikających ze zmęczenia za kierownicą oraz zwrócenie uwagi na konieczność poprawy warunków pracy w sektorze transportowym.

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 57937e552f

„Zawsze czuję się zmęczony”

Zmęczenie jest stanem wynikającym z długotrwałego wysiłku fizycznego lub psychicznego. Oddziałuje ono na organizm człowieka na wielu płaszczyznach – fizjologicznej, poznawczej i emocjonalnej. U kierowców objawia się między innymi spadkiem uwagi, problemami z koncentracją, pogorszeniem koordynacji ruchowej oraz wolniejszym reagowaniem na zagrożenia. Zmęczenie nie jest efektem świadomej decyzji człowieka, lecz naturalnym procesem zachodzącym w organizmie. Z tego powodu wielu kierowców nie zawsze dostrzega pierwsze objawy narastającego zmęczenia, a czasem zdaje sobie sprawę z jego skutków dopiero wtedy, gdy dochodzi do niebezpiecznej sytuacji lub wypadku.

Wypadki spowodowane zmęczeniem kierowcy mają charakterystyczny przebieg. Często dochodzi do utraty kontroli nad pojazdem, niezamierzonej zmiany toru jazdy oraz braku reakcji obronnych, takich jak hamowanie czy omijanie przeszkody. Szczególnie niebezpieczne są zdarzenia z udziałem pojazdów ciężarowych i autobusów, ponieważ ich duża masa powoduje znacznie większe zniszczenia niż w przypadku samochodów osobowych. Wypadki takie nierzadko kończą się poważnymi obrażeniami lub śmiercią uczestników ruchu drogowego.

Badania przeprowadzone w 2021 roku przez Europejską Federację Pracowników Transportu (ETF) wśród blisko 2800 kierowców zawodowych w Europie pokazują, że problem ich zmęczenia jest powszechny. 66% kierowców autobusów i autokarów oraz 60% kierowców samochodów ciężarowych przyznaje, że regularnie odczuwa zmęczenie podczas prowadzenia pojazdu. – Zawsze czuję się zmęczony – mówi ankieterom kierowca samochodu ciężarowego z Polski.

Jeszcze bardziej niepokojące są dane dotyczące zasypiania za kierownicą. Niemal jedna trzecia kierowców ciężarówek i około jedna czwarta kierowców autobusów przyznała, że przynajmniej raz w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy zasnęła podczas jazdy. Autorzy raportu z badania przypuszczają jednak, że rzeczywista skala problemu może być jeszcze większa, ponieważ wielu kierowców boi się zgłaszać takie przypadki z obawy przed konsekwencjami.

Długi czas pracy, mało efektywne przerwy, nieregularne grafiki

Jedną z głównych przyczyn zmęczenia kierowców jest czas ich pracy. Kierowcy zawodowi często pracują znacznie dłużej niż pracownicy innych branż. Wielu z nich przekracza 40 godzin pracy tygodniowo, a część nawet 50 godzin. Tak długi czas pracy ogranicza możliwość odpowiedniego odpoczynku oraz regeneracji organizmu. Niedobór snu staje się zjawiskiem chronicznym, a jego skutki kumulują się z każdym kolejnym kursem.

Autorzy badania wskazują, że istotnym problemem jest również poziom wynagrodzeń kierowców oraz podejmowanie przez nich dodatkowych zajęć. Wielu pracowników transportu uważa, że skrócenie czasu pracy mogłoby znacząco ograniczyć poziom zmęczenia, jednak jednocześnie obawiają się spadku dochodów. Powstaje w ten sposób błędne koło, w którym konieczność zarobkowania prowadzi do nadmiernego obciążenia organizmu.

Zmęczenie zwiększa także brak możliwości efektywnego wykorzystania przerw pomiędzy kolejnymi kursami. – [Gdy prowadzisz autobus], nigdy nie masz czasu, nie masz go nawet na przerwę – mówi ankieterom szwedzki przedstawiciel związków zawodowych. Autorzy badania alarmują, że wielu kierowców podczas formalnie przewidzianego czasu odpoczynku wykonuje inne obowiązki służbowe, np. szuka miejsc parkingowych, nadzoruje załadunek i rozładunek towarów, kontaktuje się z klientami czy analizuje trasy przejazdu. W efekcie przerwy nie spełniają swojej podstawowej funkcji, jaką jest regeneracja sił.

PONAD 61% ANKIETOWANYCH OKREŚLA SWÓJ STOSUNEK DO OBECNYCH ZAROBKÓW JAKO NEGATYWNY

Duży wpływ na poziom zmęczenia ma także jakość snu. Kierowcy często śpią w niekomfortowych warunkach, narażeni na hałas, wysoką lub niską temperaturę oraz poczucie zagrożenia związane z bezpieczeństwem pojazdu. Problem ten jest szczególnie widoczny wśród kierowców samochodów ciężarowych, którzy nierzadko nocują w kabinach pojazdów. Brak odpowiedniej infrastruktury parkingowej oraz niewystarczająca liczba bezpiecznych miejsc postoju dodatkowo utrudniają odpoczynek.

– Podczas mojego dziewięciogodzinnego odpoczynku muszę posprzątać autobus, dojechać do domu itd. [...] Śpię tylko przez cztery, może pięć godzin – mówi holenderski kierowca autokaru.

Nie bez znaczenia pozostają również nieregularne grafiki pracy. Organizm kierowcy ma trudności z przystosowaniem się do ciągle zmieniających się warunków,

eprasa.pl 57937e552f

co prowadzi do zaburzeń snu, pogorszenia samopoczucia i zwiększonego poziomu stresu.

Na zmęczenie kierowców wpływają wreszcie także warunki środowiskowe. Wysoka temperatura w kabinie pojazdu, hałas, drgania mechaniczne, intensywny ruch drogowy czy niekorzystne warunki atmosferyczne powodują dodatkowe obciążenie psychofizyczne. Szczególnie uciążliwe są fale upałów, gdy niesprawna lub niewydolna klimatyzacja utrudnia utrzymanie komfortowych warunków pracy.

– Dostawa dokładnie na czas ma na celu zminimalizowanie wydatków przedsiębiorstwa, jednak stanowi ogromne obciążenie i stres dla kierowców. […] Największe znaczenie tu ma fakt, że przedsiębiorstwo to pieniądze, a terminy stosowane przez spedytorów są ustalane w oparciu o krótki czas dostawy, co stanowi kartę przetargową pozwalającą konkurować z innymi firmami. Potem całe obciążenie pracą spoczywa na barkach kierowcy – opowiadał ankieterom kierowca samochodu ciężarowego z Rumunii.

RAPORT „ZAROBKI KIEROWCÓW ZAWODOWYCH W POLSCE 2025” POKAZUJE, ŻE KIEROWCY CORAZ CZĘŚCIEJ OCZEKUJĄ RÓWNOWAGI POMIĘDZY ŻYCIEM ZAWODOWYM A PRYWATNYM.

Jak powstrzymać kryzys bezpieczeństwa?

Przedstawiciele Europejskiej Federacji Pracowników Transportu przekonują, że skuteczne ograniczanie zmęczenia kierowców wymaga działań zarówno ze strony pracodawców, jak i ustawodawców. Pracodawcy powinni dbać o właściwą organizację czasu pracy, dokładne rejestrowanie wszystkich wykonywanych czynności oraz zapewnianie odpowiednich warunków odpoczynku. Ważne jest również inwestowanie w nowoczesne wyposażenie pojazdów poprawiające komfort pracy kierowców. Z kolei ustawodawcy powinni tworzyć i egzekwować przepisy gwarantujące odpowiedni czas odpoczynku oraz skutecznie kontrolować przestrzeganie norm czasu pracy.

Livia Spera, sekretarz generalna ETF, przekonuje: – Dla zbyt wielu kierowców zawodowych każdy dzień jest najdłuższym dniem. Zmęczenie jest systematycznie wpisane w ich warunki pracy. To kryzys bezpieczeństwa wywołany przez niedostateczne egzekwowanie, nieuzasadnioną presję i wadliwe łańcuchy dostaw, często oparte na długich łańcuchach podwykonawców. Chociaż główne przyczyny zmęczenia nie zostały usunięte, zmęczenie jest coraz częściej przerzucane na kierowców będących obywatelami państw trzecich. Tymczasem praca, która nie jest wystarczająco dobra dla obywatela UE, nie jest wystarczająco dobra dla obywatela państw trzecich.

Warunki pracy równie ważne jak wynagrodzenie

Choć kierowcy zawodowi należą obecnie do relatywnie dobrze wynagradzanych grup zawodowych w Polsce, wysokie zarobki nie zawsze przekładają się na poczucie satysfakcji zawodowej ani na poprawę warunków pracy. Z raportu „Zarobki Kierowców Zawodowych w Polsce 2025” wynika, że średnie miesięczne wynagrodzenie netto kierowców wynosiło 8838 zł.

Większość kierowców jednak nie odczuwa pełnej satysfakcji ze swojej sytuacji finansowej. Ponad 61% ankietowanych określa swój stosunek do obecnych zarobków jako negatywny, przy czym aż jedna czwarta kierowców jest całkowicie niezadowolona z wysokości otrzymywanego wynagrodzenia.

Przyczyną takiego stanu rzeczy może być fakt, że kierowcy coraz częściej oceniają swoją pracę nie tylko przez pryzmat wysokości pensji, ale również warunków zatrudnienia, czasu spędzanego poza domem oraz poziomu obciążenia psychicznego i fizycznego. Wielu respondentów podkreśla, że obecne wynagrodzenia nie rekompensują już długich okresów rozłąki z rodziną, wielogodzinnej pracy oraz odpowiedzialności związanej z prowadzeniem pojazdu. Raport wskazuje, że nawet kierowcy osiągający wysokie dochody nie zawsze deklarują zadowolenie z pracy, co sugeruje, że na ocenę zawodu wpływają także czynniki pozafinansowe.

Raport pokazuje, że kierowcy coraz częściej oczekują równowagi pomiędzy życiem zawodowym a prywatnym. Wielotygodniowe wyjazdy, choć bardziej opłacalne finansowo, są obecnie mniej atrakcyjne niż kilka lat temu. Coraz większą popularnością cieszą się systemy pracy umożliwiające regularne powroty do domu.

Z punktu widzenia bezpieczeństwa ruchu drogowego poprawa warunków pracy kierowców, zarówno w Polsce, jak i w całej Europie, powinna według specjalistów obejmować nie tylko wzrost wynagrodzeń, ale również działania zwiększające komfort pracy, przewidywalność harmonogramów oraz możliwość regularnego odpoczynku. Wyniki badań pokazują, że ograniczenie zmęczenia kierowców wymaga kompleksowego podejścia uwzględniającego zarówno aspekty ekonomiczne, jak i społeczne.

eprasa.pl 57937e552f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Życie to nie bajka

Kuriozalna „interwencja” rzecznik praw dziecka Moniki Horny-Cieślak dotycząca lodziarni w Pszczynie mówi nam więcej, niż by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Skutki obecnych trendów będą bowiem opłakane.

Istnieje spora szansa, że słyszeli już Państwo o działaniach RPD. Jednak dla porządku wyjaśnię – od wielu lat jedna z lodziarni w Pszczynie nagradzała uczniów, którzy otrzymali świadectwo z wyróżnieniem, darmową porcją lodów. Inicjatywa dobra, bo doceniająca wysiłek, konsekwencję i determinację. Jednak nie spodobała się ona RPD, która przysłała do lodziarni list z żądaniem, by ta zaniechała swojej tradycji, bo jest ona dyskryminowaniem dzieci ze świadectwem bez „paska”, którym w efekcie jest „przykro”.

Warto zaznaczyć, że właściciele lodziarni początkowo ugięli się pod „prośbą” i zaniechali swojej tradycji. Owszem, nie była ona prawem, lecz każdy, kto miał styczność z machiną państwową, doskonale wie, czym taka „prośba” pachnie – potencjalnymi problemami. Dlatego więc rozumiem właścicieli lokalu. Dopiero wówczas, gdy sprawą zainteresowały się media i zyskała ona rangę ogólnopolskiej, RPD w desperackiej próbie ocieplania wizerunku starała się przekonywać, że to „wcale nie tak”.

List Horny-Cieślak można byłoby uznać za śmieszny i niewart komentowania, gdyby nie pewne „ale”. Po pierwsze, za tym pozornie błahym listem kryje się znacznie poważniejsze zjawisko: rosnąca skłonność państwa do ingerowania w coraz bardziej absurdalne obszary życia społecznego. Zwłaszcza gdy urzędnik państwowy, wyposażony w autorytet instytucji publicznej, zaczyna wywierać presję na prywatny biznes z powodu działań, które nie naruszają prawa.

Po drugie, warto przy tej okazji zwrócić uwagę, na nieco szerszy trend. Od kilku lat obserwujemy swoisty wyścig w eliminowaniu wszystkiego, co mogłoby kogokolwiek urazić, zasmucić lub wywołać dyskomfort. To zjawisko dotyczy zwłaszcza edukacji, w której na uczniów zaczyna się dmuchać i chuchać. To utopia, a prawdziwe życie nie działa w ten sposób.

Nie wszystko kończy się sukcesem. Nie każdy dostaje nagrodę. Nie każda sytuacja jest przyjemna. Nie każda uwaga jest miła. Nie każda decyzja innych ludzi odpowiada naszym oczekiwaniom. Właśnie dlatego człowiek dojrzewa i nabiera odporności psychicznej, która nie powstaje poprzez usuwanie wszystkich przeszkód z drogi, a wręcz przeciwnie – poprzez radzenie sobie z nimi.

Życie nie stanie się przyjemne tylko dlatego, że ktoś uznał dyskomfort za największe zagrożenie współczesności. Człowiek, który nigdy nie nauczył się radzić sobie z niepowodzeniami, będzie miał ogromny problem z prawidłowym funkcjonowaniem w społeczeństwie. Nadmierna opiekuńczość prowadzi więc do efektu odwrotnego od zamierzonego. Zamiast wzmacniać młodych ludzi, osłabia ich zdolność radzenia sobie z rzeczywistością. Ten proces niestety trwa, a rachunek zapłacimy wszyscy. Już niedługo.

eprasa.pl 57937e552f

Wypaleni misją

Grupy zawodowe wystawione na presję publiczną ponoszą coraz większe **koszty psychiczne** związane z wykonywaną pracą. Ba, na emeryturze często żyją krócej.

Jakub Pacan

Trzeba pamiętać, że w procesie produkcji bierze udział cały człowiek, ze wszystkimi właściwościami umysłu, woli i serca. Należy pamiętać, że pracuje cały człowiek i wkłada w pracę wszystkie swoje właściwości: rozum, serce, wolę, uczucie, i przez to sam się doskonali. Praca musi być tak zorganizowana – głosi kanon chrześcijańskiej etyki pracy – aby człowiek nie wychodził z warsztatu upodlony – mówił do delegatów NSZZ „Solidarność" Regionu Mazowsze w Warszawie kardynał Stefan Wyszyński w październiku 1980 roku.

Lęki, depresje, absencje

Mój Boże, chciałoby się powiedzieć, jakie to prorocze słowa, zestawiając wypowiedź Prymasa Tysiąclecia ze współczesnymi statystykami dotyczącymi zwolnień lekarskich i plagi problemów psychicznych mających swoje źródło w środowisku pracy.

Do 2030 roku zaburzenia psychiczne będą stanowić ponad połowę globalnego obciążenia ekonomicznego spowodowanego

Fot. M. Żegliński

chorobami niezakaźnymi – prognozuje Światowe Forum Ekonomiczne. Koszty z tym związane szacuje się na ok. 6 bln dolarów rocznie. Według WHO zaburzenia depresyjne i lękowe powodują utratę 12 mld dni roboczych w skali globu i kosztują światową gospodarkę ok. 1 bln dol. rocznie w utraconej produktywności. To dane Światowej Organizacji Zdrowia oraz Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Globalne statystyki mają potwierdzenie w Polsce. Liczba zwolnień lekarskich z powodu zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania rośnie systematycznie z roku na rok. W ubiegłym roku była to druga najczęstsza przyczyna absencji w pracy. W 2025 roku wystawiono 1,8 mln zaświadczeń lekarskich związanych ze zdrowiem psychicznym, to o 51,3 proc. więcej niż w 2019 roku. Liczba dni absencji wzrosła o 68,7 proc., do 34,1 mln. Zwolnienia te stanowią 7,9 proc. wszystkich L4 i 14,1 proc. dni nieobecności. Najczęstsze przyczyny to reakcje na ciężki stres i zaburzenia adaptacyjne (36,7 proc.), zaburzenia lękowe (18,6 proc.) oraz epizody depresyjne (17,2 proc.). Szczególnie szybko rośnie liczba absencji związanych z wypaleniem zawodowym i trudnościami życiowymi.

Według firmy Antal, która opracowała raport na temat kosztów psychicznych pracy w Polsce, narasta zjawisko quiet quitting, czyli wycofania się z pracy. Pracownik ogranicza swoje zaangażowanie do absolutnego minimum i nie identyfikuje się z firmą.

Wśród szkoleń oferowanych przez rynek coraz częściej można spotkać te pomagające nauczyć się, jak budować odporność psychiczną, czy dotyczące bezpieczeństwa psychologicznego lub tego, jak radzić sobie w toksycznym zespole.

Nauczyciele i mundurowi

Grupy, które od lat mierzą się z kosztami psychicznymi i wypaleniem zawodowym, to nauczyciele i pracownicy służb mundurowych. – To prawda, praca nauczyciela staje się coraz trudniejsza. Mamy coraz więcej problemów z dziećmi z uwagi na edukację włączającą. W klasach jest kilku, czasem nawet kilkunastu uczniów ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, a nauczycieli wspomagających jest coraz mniej. Nie jesteśmy w stanie efektywnie wdrażać procesu indywidualizacji kształcenia i wychowania w sytuacji, gdy klasa liczy np. trzydzieścioro uczniów. Nauczyciel ani nie może pomóc w pełni rozwinąć potencjału zdolnemu uczniowi, ani odpowiednio reagować na potrzeby tego dziecka, które ma specjalne wymagania. Za chwilę będziemy mieli koniec roku szkolnego, jest czas wystawiania ocen, a wówczas nauczyciel musi się mierzyć z pretensjami ze strony uczniów i rodziców. Dzisiaj rodzice są bardzo roszczeniowi. Nauczyciel w tym wszystkim jest sam, nie ma systemowej pomocy ze strony państwa. Co więcej, odebrano prawo do urlopu dla poratowania zdrowia dla nauczycieli, którzy uzyskali prawo do wcześniejszej emerytury, a takich nauczycieli procentowo jest w Polsce wielu. Ministerstwo Edukacji Narodowej zarzuca nas coraz nowszymi pomysłami, którym często trudno sprostać – mówi w rozmowie z nami Krzysztof Wojciechowski, wiceprzewodniczący i skarbnik Krajowego Sekretariatu Nauki i Oświaty NSZZ „Solidarność".

Nawet ci pedagodzy, którzy mają uprawnienia do urlopu dla poratowania zdrowia, często boją się z niego korzystać, ponieważ nie wiedzą, do jakiej szkoły wrócą i czy w ogóle do niej wrócą. Nauczyciele przeciążeni są biurokracją, ankietami, opisami postępów uczniów i coraz bardziej niepewną przyszłością. W mniejszych miejscowościach zdarzają się przypadki, że nauczyciel musi jeździć do kilku szkół w powiecie, by dopiąć etat ze względu na niż demograficzny. Plagą zaczynają być orzeczenia psychologiczne, np. o dysleksji uczniów. Rodzice coraz częściej dla świętego spokoju idą do poradni po orzeczenie dla dziecka, zamiast poświęcić mu więcej czasu na pomoc w nauce. Od tego momentu za wszelkie niepowodzenia swoich dzieci oskarżają nauczycieli, zapominając, że w orzeczeniach jest też wskazana konkretna praca dla rodzica. Do tego dochodzi trudny temat ideologizacji szkoły, czego przykładem była próba wprowadzenia edukacji seksualnej w przedmiocie edukacji zdrowotnej. W dużych miastach pojawili się uczniowie

FUNKCJONARIUSZ PEŁNI SŁUŻBĘ W SYSTEMIE CZTEROZMIANOWYM, W DZIEŃ, W NOCY I W ŚWIĘTA. W KAŻDYM WYMIARZE MUSI BYĆ DOSTĘPNY, MUSI WYPEŁNIĆ ROZKAZ.

eprasa.pl 57937e552f

pochodzący z innych krajów i często odmiennych kręgów kulturowych. Dla nauczycieli to także stanowi coraz większe wyzwanie i generuje dodatkowy stres.

W ostatniej opinii oświatowej Solidarności z 8 czerwca br. w sprawie projektu zmiany rozporządzenia z 5 maja 2026 r. w sprawie oceniania, klasyfikowania i promowania uczniów i słuchaczy w szkołach publicznych widać, jak niejasności i brak precyzyjnych zapisów mogą generować koszty psychiczne wśród kadry pedagogicznej. „Projekt zawiera rozwiązania, które w ocenie KSNiO NSZZ «Solidarność» pogłębiają chaos interpretacyjny w szkołach, zwiększają obciążenia nauczycieli, ograniczają ich autonomię zawodową oraz nie rozwiązują zasadniczych problemów związanych z ocenianiem, pracą własną ucznia i organizacją procesu dydaktycznego". Ot, jeden z przykładów pokazujących problemy interpretacyjne, za które odpowiedzialność będzie musiał ponosić potencjalnie nauczyciel, dotyczą konstrukcji opracowanej przez MEN, w której prace domowe pozostają formalnie nieobowiązkowe, a jednocześnie systematyczność ich wykonywania może wpływać na ocenę roczną. Nauczyciel ma rozstrzygać, co z tym fantem zrobić.

Tajemnicą poliszynela jest wypalenie zawodowe w służbach mundurowych. Na szczęście wizyta u psychologa czy psychiatry funkcjonariusza nie wzbudza już kontrowersji jak jeszcze kilkanaście lat temu. Wtedy taka pomoc była utrudniona, poza tym wizyta u specjalisty od spraw psychicznych mogłaby być wykorzystana przeciw funkcjonariuszowi, który ma przecież dostęp do broni i tajemnicy służbowej. Na szczęście to się zmieniło.

„STRAŻAK WYSTAWIONY JEST NA PERMANENTNY STRES, KTÓRY DOTYCZY NIE TYLKO AKCJI RATOWNICZO-GAŚNICZEJ LUB WYPADKU KOMUNIKACYJNEGO, ALE TEŻ CZEKANIA NA AKCJĘ.

Krótsze życie

– Funkcjonariusze Państwowej Straży Pożarnej i w ogóle służb mundurowych wystawieni są na ponoszenie ogromnych kosztów psychicznych przez pełnioną przez nich służbę. To wynik rodzaju pełnionej służby i zadań obarczonych wysokim ryzykiem. Strażak narażony jest na permanentny stres, który dotyczy nie tylko akcji ratowniczo-gaśniczej lub wypadku komunikacyjnego, ale też czekania na akcję. Strażak jadący do pożaru naprawdę nie wie, co go może spotkać na miejscu, co zobaczy, czy uda się kogoś uratować. W wypadkach biorą udział również dzieci. To trudne doświadczenia. Bardzo dużo funkcjonariuszy, odchodząc na emeryturę, zaczyna korzystać z pomocy psychologów, ponieważ w sytuacji, gdy już nie są narażeni na bezpośrednie przeciążenia psychiczne, zaczynają sobie przypominać drastyczne sytuacje z czasów służby. Jako NSZZ „Solidarność" od wielu lat pracujemy nad rozwijaniem pomocy psychologicznej w Państwowej Straży Pożarnej i mamy w tym zakresie sukcesy, ale jeszcze wiele jest do zrobienia. Pracujemy nad tym, by strażacy mogli zmieniać swoje stanowiska pracy z ratowniczo-gaśniczych na biurowe w sytuacji, gdy pojawiają się problemy psychiczne i wypalenie zawodowe. Pomimo tego, że funkcjonariusze służb mundurowych odchodzą na emerytury wcześniej niż inni pracownicy, co wiąże się z różnymi komentarzami społecznymi, badania wskazują jasno, że współczynnik umieralności wśród funkcjonariuszy służb mundurowych jest znacznie większy niż wśród innych ludzi odchodzących na emeryturę. To wynik ciągłego napięcia, trudnych przeżyć, nerwów, pracy w systemie zmianowym przez lata, ciągłej dyspozycyjności do wykonywania rozkazów – tłumaczy w rozmowie z nami Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", przewodniczący

PRACA NAUCZYCIELA STAJE SIĘ CORAZ TRUDNIEJSZA. MAMY CORAZ WIĘCEJ PROBLEMÓW Z DZIEĆMI Z UWAGI NA EDUKACJĘ WŁĄCZAJĄCĄ.

eprasa.pl 57937e552f

Rady Krajowej Sekcji Pożarnictwa NSZZ „S".

Koszty psychiczne służby w policji według różnych badań wyglądają tak, że około połowy badanych policjantów w wysokim stopniu wykazuje objawy wypalenia zawodowego. Niestety, sytuacja będzie narastać, a nie maleć. „Stresogenność tego zawodu permanentnie przybiera na sile. Przyczyniają się do tego m.in. częste uczestnictwo w wyczerpujących akcjach, narażenie życia własnego i innych, dyspozycyjność, brak stabilizacji zawodowej, presja publiczna, podejmowanie szybkich decyzji oraz używanie broni. Szczególne warunki pracy w policji podyktowane są samym jej charakterem, wadliwością systemu zarządzania, a także specyfiką relacji interpersonalnych. Funkcjonariusze w czynnej służbie eksponowani są na szereg niezaprzeczalnie stresogennych zdarzeń, takich jak: narażenie na powstanie obrażeń ciała, trwałe kalectwo, utratę życia, będących wynikiem postępowania osób, wobec których podejmowane są działania prewencyjne, uczestnictwa w akcjach podczas klęsk żywiołowych, prowadzenia pościgu za przestępcami, wykonywania czynności służbowych bez względu na panujące warunki atmosferyczne, interwencji w środowiskach, gdzie istnieje prawdopodobieństwo kontaktu z zakaźnym materiałem biologicznym" – czytamy w artykule „Stres i sposoby radzenia sobie z nim przez policjantów i strażaków" na stronie Centralnego Instytutu Ochrony Pracy – PIB.

Formacją, która od lat mierzy się z wysokimi kosztami psychicznymi swoich funkcjonariuszy, jest Służba Więzienna. – Funkcjonariusz pełni służbę w systemie czterozmianowym, w dzień, w nocy i w święta. W każdym wymiarze musi być dostępny, musi wypełnić rozkaz, być dyspozycyjny, a jak trzeba – wykonywać swoje obowiązki z narażeniem własnego zdrowia i życia. Szczególna hierarchiczność i konieczność podporządkowania też generują obciążenie psychiczne. Nie można dyskutować, czy rozkaz był głupi, czy mądry, należy go wykonać. Funkcjonariuszy służb mundurowych obowiązuje wiele drobiazgowych przepisów, regulaminów i poleceń, które muszą wypełniać. W końcu rodzaj pracy i specyfika środowiska generują przeciążenie psychiczne. Funkcjonariusze Służby Więziennej pracują z osobami osadzonymi za przestępstwa, przejawiającymi agresywne zachowania, ataki na nich nie należą do rzadkości. Więźniowie dokonują samookaleczeń, trzeba im udzielić natychmiastowej pomocy, nieraz konieczna jest reanimacja. To wszystko nie pozostaje bez wpływu na stan psychiczny funkcjonariusza – mówi mjr w st. spocz. SW Konrad Wierzbicki, prof. uczelni, ekspert z ponad 20-letnim doświadczeniem pracy w strukturach polskiego więziennictwa.

Tutaj odsetek funkcjonariuszy odchodzących na emeryturę, którzy decydują się na skorzystanie z usług psychologa, może być jeszcze większy niż w przypadku policji i straży pożarnej.

Do wielu wskaźników pokazujących, że Polacy zrównali się już z Europą Zachodnią, dodać należy i te dotyczące kosztów psychicznych generowanych w pracy. Na szczęście podobnie jak w Europie czy Stanach Zjednoczonych nie jest to już temat tabu. Polacy wykazują tutaj coraz większą sprawczość i mają coraz większą świadomość, gdzie i jak szukać ratunku.

W POLSCE NARASTA ZJAWISKO QUIET QUITTING, CZYLI WYCOFANIA SIĘ Z PRACY. PRACOWNIK OGRANICZA SWOJE ZAANGAŻOWANIE DO ABSOLUTNEGO MINIMUM I NIE IDENTYFIKUJE SIĘ Z FIRMĄ.

DO WIELU WSKAŹNIKÓW POKAZUJĄCYCH, ŻE POLACY ZRÓWNALI SIĘ JUŻ Z EUROPĄ ZACHODNIĄ, DODAĆ NALEŻY I TE DOTYCZĄCE KOSZTÓW PSYCHICZNYCH GENEROWANYCH W PRACY.

eprasa.pl 57937e552f

Polska republika zmęczonych

Polacy pracują. Pracują ciężko. I **pracują za dużo**. W konsekwencji nie mają czasu na życie.

Tomasz Rowiński

Połowa z nas dorabia. Co trzeci nie bierze pełnego urlopu. Co drugi pracownik ma objawy przeciążenia, którego powodem jest intensywność życia zawodowego. Bierzemy trzydzieści milionów dni zwolnień lekarskich z powodów psychicznych w roku. Tkwimy też na trzecim miejscu w Europie pod względem długości tygodnia pracy i nie widać, żebyśmy mieli się z tego miejsca szybko ruszyć.

A tymczasem Niemiec po pracy idzie na rower. Holender odbiera dzieci ze szkoły o 15.30 i nikt go za to nie ocenia. Francuz bierze urlop w sierpniu i nie sprawdza maila. Oni też kiedyś pracowali tyle, co my, ale wybrali inaczej. Wzrost produktywności przełożyli na czas, nie tylko na pieniądze.

Nie ma jednej odpowiedzi na pytanie, jak wyrwać się z pułapki przepracowania i zmęczenia. Potrzeba

Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 57937e552f

zmian prawnych – egzekwowania przepisów o nadgodzinach, realnego skrócenia czasu pracy, ułatwienia pracy w niepełnym wymiarze bez ekonomicznej kary. Potrzeba zmiany mentalnej: pracodawców, którzy przestaną traktować dyspozycyjność jako cnotę samą w sobie, i pracowników, którzy odważą się powiedzieć „dość" bez poczucia winy. Potrzeba też systemu opieki zdrowotnej dostępnej dla tych, których ciało i psychika już odmówiły posłuszeństwa.

To jednak nie wszystko, trzeba dać Polakom poczucie, że bezpieczeństwo bytowe nie musi wiązać się z nieustannym rozglądaniem się za kolejną fuchą, którą często traktujemy nie tylko jako dodatkowe źródło dochodu, ale też ratunkowy pomost, gdyby główne źródło utrzymania, często niestabilne np. z powodów cywilno-prawnych, zniknęło.

W polskiej debacie publicznej długo dominowało przekonanie, że problemem jest przede wszystkim poziom wynagrodzeń. To ważny aspekt, ale nie wyczerpuje tematu. Wyraźnie widać, że równie istotnym wyzwaniem staje się brak czasu: na sen, na rodzinę, na relacje, na udział w życiu wspólnotowym. W tym sensie „czasobieda" jest jednym z najważniejszych, choć wciąż niedostatecznie nazwanych, skutków współczesnej organizacji pracy.

Nie stać nas na wypoczynek?

Polacy należą do najbardziej zapracowanych narodów naszego kontynentu. Mogłoby się wydawać, że razem ze wzrostem zamożności państwa coś w tej sprawie się zmieni, jednak pracujemy niemal tyle samo, co trzydzieści lat temu, gdy kraj wychodził z komunizmu. Zatem przynajmniej część problemu tkwi gdzie indziej. Mimo trzykrotnego wzrostu PKB na mieszkańca od 1993 roku roczna liczba przepracowanych godzin zmniejszyła się zaledwie o około 5 procent. Na Zachodzie w tym zakresie zaszła rewolucja: Niemcy od 1950 do 2019 roku skrócili roczny czas pracy o ponad tysiąc godzin – z około 2400 do 1386 godzin. Francuzi podobnie. Wzrost produktywności zainwestowali w czas wolny. Polska tego nie zrobiła.

Według danych Eurostatu za 2024 rok Polacy pracują średnio 38,9 godz. tygodniowo, podczas gdy unijna średnia wynosi 36 godzin. W całej Unii dłużej pracują tylko Grecy (39,8 godz.) i Bułgarzy (39,0 godz.). Najkrótszy tydzień pracy mają Holendrzy (32,1 godz.) oraz Niemcy i Duńczycy (33,9 godz.). Różnica między Polakiem a Niemcem to niemal cały dodatkowy dzień pracy w każdym tygodniu. Aż 12,4 proc. Polaków pracuje ponad 45 godzin tygodniowo, dużo powyżej unijnej średniej. Podobne dane podaje raport „Bezpieczni w Pracy 2024". Obejmujące ponad tysiąc pracowników i dwustu pracodawców badanie wykazało, że deklarowany czas pracy według pracowników to prawie 41 godzin tygodniowo, a według pracodawców jeszcze niemal trzy godziny więcej.

Dane OECD pokazują, że Polska zaczęła transformację z poziomu ponad 2000 godzin pracy rocznie i przez kolejne dekady schodziła z niego bardzo powoli: w 2005 roku były to 1994 godziny, w 2009 roku – 2015 godzin (chwilowy wzrost po kryzysie), w 2013 roku – 1918 godzin, w 2019 roku – 1806 godzin. Analitycy komentujący te dane zwracają uwagę, że Polak pracuje dziś tyle, ile Niemiec pracował w 1965 roku. Jednocześnie wymaga się od niego większej efektywności.

W pewnym stopniu korzenie tego zjawiska sięgają „dawnego ustroju" i tzw. transformacji. W PRL formalny tydzień pracy obejmował sześć dni, a pierwsze wolne soboty pojawiły się dopiero w latach 70. Upowszechnienie wolnych sobót było jednym z postulatów Solidarności, który został zatwierdzony w ramach Porozumień Sierpniowych w 1980 roku. Jednak ważniejsze okazało się coś innego. Realną ceną transformacji okazało się masowe bezrobocie spowodowane przez radykalnie antyspołeczne metody odchodzenia od gospodarki nakazowo-rozdzielczej. W 1994 roku stopa bezrobocia osiągnęła 16,4 proc., a zarobki pracujących zostały „zweryfikowane" przez hiperinflację. Ukształtowało to kulturę rynku pracy opartą na poczuciu, że zatrudnienie jest przywilejem wymagającym stałego potwierdzania zaangażowaniem, także w wymiarze czasowym. Ta mentalność utrzymuje się do dziś.

POTRZEBA ZMIAN PRAWNYCH – EGZEKWOWANIA PRZEPISÓW O NADGODZINACH, REALNEGO SKRÓCENIA CZASU PRACY, UŁATWIENIA PRACY W NIEPEŁNYM WYMIARZE BEZ EKONOMICZNEJ KARY. POTRZEBA ZMIANY MENTALNEJ.

eprasa.pl 57937e552f

To, że wykorzystują ją pracodawcy, którzy często wciąż uważają, że najlepszym pracownikiem jest człowiek niepewny swojej przyszłości, świadczy głównie o ich niskim poziomie kultury zarządzania. Jednak niski poziom zainteresowania sprawą przez polskie państwo oznacza brak szacunku klasy politycznej dla obywateli.

Połowa Polaków dorabia

Tym bardziej że część ważnych parametrów dotyczących czasu, który poświęcamy pracy, wręcz się pogarsza. Jeszcze w 2023 roku pracę dodatkową podejmowało niespełna 42 proc. Polaków. Według najnowszych danych agencji zatrudnienia Gi Group z marca 2026 roku odsetek ten wzrósł do 50 proc. To wzrost o 8,5 punktu procentowego w ciągu dwóch lat. Aż 58 proc. ankietowanych deklaruje, że zamierza kontynuować lub podjąć taką aktywność w najbliższym czasie.

Dominującą motywacją nie jest pokrycie podstawowych kosztów utrzymania, choć występuje ona wciąż na znacznym poziomie. Taki powód wskazało aż 15 proc. respondentów. Częstsze odpowiedzi to: finansowanie wydatków ponad podstawowe potrzeby (28 proc.) oraz gromadzenie oszczędności (25 proc.). Dla 13,2 proc. dodatkowa praca wiąże się z realizacją pasji, a dla co dziesiątego – z rozwojem zawodowym. Ponad 6 proc. dorabia w celu rozwijania własnego biznesu. Oznacza to, że największą siłą napędową zjawiska są bezpośrednie braki w domowym budżecie, ale też ograniczone poczucie stabilności. Tak trzeba widzieć pracę w celu oszczędzania, a także częściowo pracę na ponadpodstawowe potrzeby. Praca dodatkowa jest częściej domeną mężczyzn, stanowią oni 55 procent dorabiających. Można postawić hipotezę, że choć Polacy zarabiają zwykle wystarczająco, by się utrzymać, środowisko rynku pracy sprawia, że doświadczają niepewności odnośnie do swojej przyszłości. Dziwnym trafem tendencja ta nasila się w latach rządów liberalnych.

Dane GUS i ZUS wskazują, że formalnie jako „osoby wieloetatowe" figuruje jedynie 5–9 procent pracowników, co pokazuje skalę pracy na umowy śmieciowe lub w szarej strefie. W oczywisty sposób rozwiązania te są korzystniejsze dla pracodawców, ale też petryfikują złe cechy kultury przedsiębiorczości w Polsce. Znaczna część tej dodatkowej pracy generowana jest przez systemowo generowany niepokój okradający polskie rodziny z czasu, jaki mogłyby mieć dla siebie.

Urlop niewykorzystany, nadgodziny nieodpłacone

Idźmy jednak dalej poprzez dane. Z raportu „Łączy nas zdrowie 2025" wynika, że pełnego przysługującego urlopu używa jedynie 48 proc. Polaków. 34 proc. przyznaje, że nie jest w stanie go w pełni wykorzystać, a 7 proc. nie korzysta z urlopu wcale. Tylko 40 procent pracowników jest w stanie wziąć ustawowe nieprzerwane 14 dni wolnego, mimo że taki odpoczynek stanowi wymóg Kodeksu pracy. Jednocześnie 67 proc. badanych deklaruje, że chciałoby mieć więcej dni wolnych. Według GUS w 2024 roku przeciętny pracownik wykorzystał 20 z przysługujących mu 26 dni urlopu.

Z kolei problem nadgodzin ma wymiar zarówno prawny, jak i faktyczny. Kodeks pracy limituje nadgodziny do 150 godzin rocznie w trybie podstawowym, z możliwością rozszerzenia do 416 godzin na mocy układów zbiorowych. W praktyce jednak – szczególnie w małych firmach i wśród pracowników fizycznych – nadgodziny są wykonywane bez ewidencji i bez wynagrodzenia. Powszechne jest też nieopłacane „przedłużenie dnia pracy" wynikające z pracy zdalnej i stałej dostępności przez telefon i pocztę elektroniczną – czasu, który w żadnych statystykach się nie pojawia.

Z RAPORTU „ŁĄCZY NAS ZDROWIE 2025" WYNIKA, ŻE PEŁNEGO PRZYSŁUGUJĄCEGO URLOPU UŻYWA JEDYNIE 48 PROC. POLAKÓW. 34 PROC. PRZYZNAJE, ŻE NIE JEST W STANIE GO W PEŁNI WYKORZYSTAĆ, A 7 PROC. NIE KORZYSTA Z URLOPU WCALE.

Wypalenie zawodowe jako epidemia

Dane o stanie zdrowia psychicznego polskich pracowników są alarmujące. W 2024 roku wystawiono w Polsce ponad 30 milionów dni zwolnień lekarskich z powodu zaburzeń psychicznych – co ósmy przypadek absencji chorobowej w kraju. Zgodnie z danymi Narodowego Funduszu Zdrowia na depresję leczonych jest już około 1,2 mln osób. Depresja odpowiada za kilkanaście procent wszystkich

eprasa.pl 57937e552f

zwolnień wystawianych z przyczyn psychicznych.

Badanie firmy Mindgram przeprowadzone wśród pracujących Polaków pokazuje, że prawie ośmiu na dziesięciu ocenia swój dobrostan na poziomie umiarkowanym lub gorszym, a prawie co drugi wykazuje objawy wypalenia zawodowego, z czego 26 procent klasyfikuje się do jego ciężkiej formy. Inne badania wskazują, że symptomy wypalenia mogą odczuwać nawet dwie trzecie pracujących Polaków, a 75 proc. deklaruje wzrost stresu w życiu codziennym na tle zawodowym. Tylko 20 procent uważa, że ich pracodawca właściwie wspiera zdrowie psychiczne. Aż 77 procent pracowników przyznaje, że nie dostrzega sensu ani społecznej wartości swoich obowiązków zawodowych.

Karōshi – zjawisko bez polskiej nazwy

Karōshi to japoński termin oznaczający śmierć wskutek przepracowania. Bezpośrednią przyczyną zgonu jest najczęściej zawał serca lub udar mózgu wywołane przez chroniczny stres i wyczerpanie organizmu. Zjawisko opisano po raz pierwszy w Japonii w 1969 roku; w 1982 roku weszło do literatury medycznej jako kategoria. W Japonii szacuje się około 10 000 zgonów rocznie oficjalnie powiązanych z przepracowaniem, choć część badaczy wskazuje, że ich rzeczywista liczba jest wielokrotnie wyższa.

Szczególnie zagrożone są osoby pracujące ponad 60 godzin tygodniowo, wykonujące ponad 50 nadgodzin miesięcznie i mające niewykorzystaną ponad połowę urlopu. Profile ryzyka obejmują zarówno kadrę menedżerską wyższego szczebla, jak i pracowników niskich szczebli niemających wpływu na swoje warunki zatrudnienia. Łatwo jednak nawet z powyżej przytoczonych statystyk wyciągnąć wniosek, że wielu Polaków balansuje na granicy zagrożenia życia, pracując nadmiarowo. Dane dotyczące zdrowia, długości życia i czasu poświęconego pracy przez polskich mężczyzn także powinny zmusić nasze państwo do łączenia przyczyn i skutków.

Polska nie prowadzi statystyk zgonów klasyfikowanych jako śmierć z przepracowania, a szkoda. Polscy badacze akademiccy zidentyfikowali jednak przypadki krajowe, które mogłyby należeć do tej kategorii. Z badania CBOS i PARPA wynika jednak, że uzależnienie od pracy w znaczeniu klinicznym dotyczyło w ostatniej dekadzie około 9 procent polskiego społeczeństwa. Uzależnienie to przekłada się na drastycznie niższe zdolności do funkcjonowania w życiu pozazawodowym czy oddzielania pracy od czasu wolnego.

Struktura problemu

Długi czas pracy w Polsce ma też podłoże strukturalne, a nie wyłącznie kulturowe. Nie może to być jednak usprawiedliwienie dla bezczynności państwa. Polska gospodarka charakteryzuje się bardzo niskim udziałem zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin – w Holandii dotyczy ono niemal 40 procent pracujących, w Polsce pozostaje marginesem. Dominują sektory o najdłuższym czasie pracy: rolnictwo, leśnictwo i rybołówstwo (41,5 godz./tydz.), górnictwo (39,1 godz.) i budownictwo (38,9 godz.) – według danych Eurostatu za 2024 rok. Tymczasem wielu ekspertów, jak choćby Andrzej Kubisiak z Polskiego Instytutu Ekonomicznego, analizując dane OECD z lat 1970–2021, wskazał, że w krajach, które skracały czas pracy, nie dochodziło do spadku PKB. Warto by zacząć układać w inny sposób klocki tworzące świat pracy, w którym wiele elementów tworzy system zależności przekładający się na jakość życia obywateli.

Kluczowe jednak wydaje się zwiększenie stabilności zawodowej Polaków poprzez regulacje prawne promujące odpowiedzialność pracodawców i wyższe standardy prowadzenia działalności gospodarczej. Niezbędne może być także dalsze zdecydowane podnoszenie płacy minimalnej, tak aby zmniejszać presję ekonomiczną odczuwaną przez osoby zarabiające najmniej.

Bez tego – choć nie neguję tego pomysłu zupełnie – rządowy pilotażowy program skrócenia czasu pracy niekoniecznie jest tym, czego rzeczywiście dziś potrzebujemy w pierwszej kolejności. To raczej rozwiązanie dla dobrze sytuowanych. Łatwo sobie wyobrazić, że w Polsce czterodniowego tygodnia pracy ten dodatkowy dzień wolny wielu z nas przeznaczyłby – po prostu – na dodatkową pracę, by wyrobić polską normę zmęczenia.

W 2024 ROKU WYSTAWIONO W POLSCE PONAD 30 MILIONÓW DNI ZWOLNIEŃ LEKARSKICH Z POWODU ZABURZEŃ PSYCHICZNYCH – CO ÓSMY PRZYPADEK ABSENCJI CHOROBOWEJ W KRAJU.

eprasa.pl 57937e552f

Pozostawieni sami sobie

Wśród zawodów prowadzących do wyczerpania, generujących ponadprzeciętny stres, narażających na traumę, zaburzenia psychiczne, a nawet samobójstwo, w debacie publicznej istnieje **niepisana hierarchia**. O problemach jednych mówi się dużo, a ich trudności urastają do rangi pełnoprawnego problemu społecznego. Co jednak z tymi zawodami, które znajdują się na samym dole tej drabiny?

Ludwik Pęzioł

WETERYNARZ CZĘSTO POZOSTAJE W CIENIU SAMEGO ZWIERZĘCIA I JEDNOCZEŚNIE W CIENIU NARRACJI O „RATOWANIU ŻYCIA”

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 57937e552f

Przedstawiciele wielu zawodów porzucili już nadzieję na realną pomoc instytucjonalną. Chcieliby jednak przynajmniej zostać zauważeni i zrozumiani. To nie jest błahostka. Większa świadomość mogłaby zmienić podejście klientów i przełożonych: wzbudzić więcej życzliwości, skłonić do wysłuchania, ułatwić wprowadzenie drobnych rozwiązań, które niewiele kosztują, a potrafią wiele zmienić. Tymczasem z powodu społecznej niewidzialności, utrwalonych mitów i wygodnych usprawiedliwień ich problemy są często ignorowane lub bagatelizowane, więc nie mogą liczyć nawet na to „niewiele". Przyjrzyjmy się mechanizmom, które do tego prowadzą.

Konsultant telefoniczny

Wśród pracowników obsługi klienta praca „na słuchawce" często uchodzi za tę najgorszą. Wielu chętnie przesiada się z call center do biura obsługi klienta z bezpośrednim kontaktem z ludźmi, ale niewielu marzy o zmianie w drugą stronę. Jednym z głównych powodów jest nieustanna kontrola. Pracownik obsługi bezpośredniej rzadko bywa „podsłuchiwany" przez przełożonych. W call center jest to codzienność. Rozmowy są nagrywane, a każde słowo zostaje odsłuchane, przeanalizowane i ocenione.

Szczególnie trudna bywa praca tam, gdzie obsługa klienta łączy się z telemarketingiem. Wielu pracowników dopiero po zatrudnieniu odkrywa, jak duży nacisk kładziony jest na sprzedaż. Nierzadko oznacza to konieczność oferowania usług lub produktów osobom, które wyraźnie ich nie potrzebują albo nie są nimi zainteresowane, a „wyrobienie normy" wymaga stosowania manipulacji, co stanowi rodzaj wyzysku moralnego.

Dodatkowym problemem jest niewielka swoboda prowadzenia rozmowy. Procedura pozostaje bowiem święta i nienaruszalna. Niezależnie od sytuacji klienta, jego nastroju czy kierunku, w którym zmierza rozmowa, konsultant musi przejść przez kolejne punkty scenariusza. Czasem oznacza to kierowanie klienta na rozwiązanie, które wydaje się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Nic zatem dziwnego, że pracownik często słyszy irytację rozmówcy. Wie jednak, że odstępstwo od procedury może zostać uznane za błąd, i wbrew sobie dalej brnie w absurd. Wszystko to składa się na pracę, która dla wielu osób jest źródłem chronicznego stresu, frustracji i upokorzenia.

Mimo to konsultanci telefoniczni rzadko stają się bohaterami reportaży czy debat o kondycji psychicznej pracowników. Jednym z powodów jest mit „pierwszej pracy", według którego call center to jedynie krótki etap kariery, przez który trzeba się „przeczołgać", by później było już „tylko lepiej". W rzeczywistości jednak pracują tam ludzie w różnym wieku, a wielu spędza w branży długie lata. Część starszych konsultantów obawia się zmiany zawodu i wejścia na niepewny grunt, na którym musieliby konkurować z młodszymi, i – w ich mniemaniu – lepiej zaadaptowanymi do współczesnego rynku pracy kandydatami.

Drugim powodem jest brak społecznej sympatii. Kontakt z konsultantem często wywołuje irytację, zwłaszcza gdy rozmowa dotyczy sprzedaży. Łatwo wtedy zapomnieć, że osoba po drugiej stronie słuchawki nie jest do końca „sobą", i nie działa według własnego uznania. To właśnie brak świadomości tego faktu sprawia, że problemy tej grupy zawodowej pozostają niemal niewidoczne.

Kurator sądowy

Wielu pracowników wymiaru sprawiedliwości spotyka się ze społeczną empatią i zainteresowaniem. Kurator sądowy, choć często jest tym, który faktycznie działa „w terenie" i najbliżej ludzkich dramatów, w debacie publicznej bywa zaskakująco pomijany. Pod wieloma względami jego praca jest równie trudna – jeśli nie trudniejsza – niż czynności innych funkcjonariuszy.

Weźmy choćby konieczność wizytowania miejsc, do których nawet policjant czy prokurator nie zawsze wchodzi bez wsparcia. Dochodzi do tego nie tylko ryzyko fizyczne, ale też obciążenie psychiczne. Widok patologicznych rodzin, wieloletnich zaniedbań czy skrajnej biedy rodzi często poczucie bezsilności, a obserwowanie sytuacji dziecka uwikłanego w rozwód rodziców to doświadczenie przytłaczające. Kurator nie ma też takiej sprawczości, jak mogłoby się wydawać z zewnątrz. Nie jest ani psychologiem, ani księdzem, choć często oczekuje się od niego efektów podobnych do ich pracy. Tymczasem bardzo często towarzyszy ludziom w procesie, który i tak kończy się niepowodzeniem; i musi przyjmować na siebie ciężar tej porażki. Porażki rozumianej jako brak podźwignięcia się z „dna" przez osoby, którymi się opiekuje.

Jakby tego było mało, kurator funkcjonuje w stałym napięciu wynikającym z samej natury jego pracy. Osoby objęte dozorem często nie chcą kontaktu. Zdarza się, że nie ma ich w domu, że unikają wizyt, co oznacza kolejne próby, kolejne powroty, często w mało komfortowych porach. Z punktu widzenia dozorowanych kurator bywa intruzem, który

WŚRÓD PRACOWNIKÓW OBSŁUGI KLIENTA PRACA „NA SŁUCHAWCE" CZĘSTO UCHODZI ZA TĘ NAJGORSZĄ.

eprasa.pl 57937e552f

wchodzi w ich życie z zewnątrz i zaburza jego rytm. Dają mu to odczuć najprostszą metodą: unikaniem i nieobecnością.

Mimo to o kuratorach mówi się niewiele. O ile zawód policjanta, prokuratora czy sędziego bywa atrakcyjny medialnie i popkulturowo, kurator rzadko przebija się do świadomości społecznej. Jego praca jest mniej widowiskowa, pozbawiona spektakularnych momentów, co sprawia, że przegrywa w konkurencji o uwagę. A przecież to on w wielu przypadkach realnie dźwiga ciężar decyzji i ich konsekwencji, często będąc jedynym urzędnikiem, który regularnie styka się z ludźmi „na marginesie".

Weterynarz

Niektóre badania wskazują, że to właśnie wśród weterynarzy notuje się jeden z najwyższych wskaźników samobójstw. Na pierwszy rzut oka może to dziwić. Łatwo jednak zrozumieć, co stoi za takim obrazem, i nie chodzi wyłącznie o najbardziej oczywistą warstwę, czyli ciągły kontakt ze śmiercią zwierząt, ich bólem i stanami, w których często jedynym rozwiązaniem pozostaje uśpienie.

Są też czynniki mniej widoczne. Do zawodu trafia zwykle osoba kierująca się silnym idealizmem i poczuciem misji wobec zwierząt. I nagle okazuje się, że bardzo często staje przed dylematem, w którym granicą ratowania życia jest zasobność portfela właściciela. Albo – co bywa jeszcze bardziej brutalne – jego gotowość do wydania pieniędzy. W praktyce oznacza to sytuację, w której życie zwierzęcia ma swoją cenę. Dla kogoś, kto wchodzi do zawodu z przekonaniem o konieczności bezwarunkowej pomocy, zderzenie z tą ekonomiczną barierą musi tworzyć wysoki koszt psychiczny. To zupełnie inny ciężar niż w przypadku medycyny ludzkiej, w której (przynajmniej oficjalnie) życie nie podlega wycenie w tak bezpośredni sposób.

Dochodzi do tego relacja z klientami. Weterynarz funkcjonuje w innej pozycji niż lekarz medycyny. Nie ma takiego społecznie usankcjonowanego kredytu zaufania i autorytetu. To sprawia, że łatwiej podważyć jego decyzję, łatwiej go obwinić, a śmierć zwierzęcia, nawet jeśli obiektywnie nie do uniknięcia, bywa przypisywana jego błędom. Są też odwrotne sytuacje – właściciele, którzy stosują terapię uporczywą bez względu na koszty, a brak w nich psychicznej gotowości na uśpienie zwierzęcia, co powoduje jego przedłużające się w nieskończoność cierpienie, na które weterynarz nic nie może poradzić, choć się tego od niego oczekuje.

Krajowa Rada Lekarsko-Weterynaryjna w jednym ze zleconych badań wskazywała, że 64% weterynarzy deklaruje wypalenie zawodowe, 70% odczuwa częstą frustrację, 40% zmaga się z zaburzeniami lękowymi, a niemal 40% doświadczało myśli samobójczych. Są to liczby, które muszą robić wrażenie. Tym bardziej że mówimy o grupie zawodowej mającej na co dzień dostęp do środków farmakologicznych, które mogą ułatwiać realizację takich myśli.

Tymczasem medialne zainteresowanie tym tematem pozostaje niewielkie. Pojedyncze reportaże czy wzmianki nie oddają skali zjawiska. Weterynarz często pozostaje w cieniu samego zwierzęcia i jednocześnie w cieniu narracji o „ratowaniu życia", która skrywa koszty psychiczne jego pracy. Łatwo wtedy założyć, że wzniosła misja sama w sobie rekompensuje wszystko inne, co w świetle danych okazuje się zupełną nieprawdą.

Niewidzialny pracownik galerii

Na koniec warto wspomnieć o typie pracownika, który jest tak bardzo niewidzialny, że właściwie nie ma nawet swojej potocznej nazwy. Chodzi o osobę wynajętą jako „strażnik stoiska" w galerii handlowej – stoiska, które przez większość dnia pozostaje zupełnie nieodwiedzane. Tego typu praca pojawia się na przykład przy punktach sezonowych, odwiedzanych przez klientów raz lub kilka razy w roku, albo takich, które w praktyce nie mają stałego ruchu. Czasem sama obecność w galerii jest dla firmy formą prestiżu albo obowiązkiem wizerunkowym, nawet jeśli realna sprzedaż bywa marginalna. Zdarza się też, że to nie kalkulacja, ale przepisy galerii wymuszają utrzymywanie takiego stanowiska.

Tego typu praca jest na swój sposób przerażająca: pracownik przez cały dzień funkcjonuje w pełnej ekspozycji społecznej (zwłaszcza jeśli pracuje na tzw. wyspie), ale jednocześnie pozostaje całkowicie bezczynny. Musi być obecny, gotowy, „na stanowisku", choć rzadko ma cokolwiek do zrobienia. Jego dzień sprowadza się do otwarcia stoiska, kilku czynności organizacyjnych i zamknięcia go po dwunastu godzinach. Pomiędzy tymi punktami rozciąga się długi okres absolutnej bierności, który formalnie nie jest odpoczynkiem, ale też nie jest pracą w klasycznym sensie. Ta dziwna kombinacja stałej gotowości i braku działania bywa paradoksalnie wyczerpująca.

Trudno o bardziej „niewidzialnego" pracownika: obecnego w przestrzeni publicznej, wystawionego na spojrzenia setek ludzi, a jednocześnie w praktyce nieistniejącego, jakby był tylko martwym elementem scenografii galerii.

KURATOR SĄDOWY, CHOĆ CZĘSTO PRZEBYWA NAJBLIŻEJ LUDZKICH DRAMATÓW, W DEBACIE PUBLICZNEJ BYWA ZASKAKUJĄCO POMIJANY.

eprasa.pl 57937e552f

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Od Mickiewicza do Szeptyckiego

Jan Wróbel

Rasa była za życia Romana Dmowskiego pojęciem wielorakim. Czasem biologicznym, czasem kulturowym (mówiło się np. „rasa iberyjska"), czasem poręczno-niekonkretnym („rasowy jeździec" albo, o, czasy, obyczaje, „rasowa kobieta"). Zarzucanie zatem Dmowskiemu rasizmu jest zwykle efektem nadmiarowego poszukiwania epitetów, a nie poszukiwania precyzji. Podobnie jest z „nacjonalizmem", „antysemityzmem" i innymi wygodnymi słowami pałkami. Można też dodać, że lider polskiego obozu narodowego bronił ukraińskich uczniów przed ewentualnym wynaradawianiem przez polską szkołę.

Jednakże rozumowanie Dmowskiego w sprawie narodowej nie raz, nie dwa wpadało w koleiny rasizmu. Miał wśród znajomych, a nawet przyjaciół osoby pochodzenia żydowskiego, niemniej pisał i mówił o „rasie żydowskiej". Czasem w aspekcie kultury (nie szanował kultury jidysz, była dla niego „kulturą Wschodu", a tej nie znosił), czasem w rozumieniu, jednak, jakby biologicznym. Żydzi jawili się jako nacja, grupa, „rasa", niejako trwale zrośnięta z wrogością wobec niepodległego państwa polskiego, co usprawiedliwiało taką politykę wobec Żydów, aby im życie w tym państwie obrzydzić. Nic dziwnego, że wśród uczniów Dmowskiego niejeden – i to żaden tam głupek, tylko wykształcony inteligent – walił kamieniem w szybę sklepu Goldmana czy Grosmana dla dobra Polski...

Rywal „Pana Romana" Józef Piłsudski inaczej definiował polskość – poprzez duchowy związek... z dawną Rzeczpospolitą. Dlatego ważnym oficerem w Legionach mógł być Stanisław Szeptycki, chociaż jego brat, Andrzej Szeptycki, był biskupem ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego. Popieranym przez Marszałka kandydatem na prezydenta był natomiast Gabriel Narutowicz, chociaż brat Gabriela, Stanisław, był nieodległościowym działaczem... litewskim. Działalność Stanisława była zresztą jednym z zarzutów wobec Gabriela – no, jak ktoś ma takiego brata, to jak może być dobrym Polakiem?

Piłsudski był w tym sensie zarazem bardziej zacofany i bardziej postępowy niż Dmowski. Nie mówił, że naród to wspólnota krwi, lecz widział naród po mickiewiczowsku – kto odnajduje się w kulturze polskiej wolności, jest nasz. Dmowski widział naród nowocześnie, naukowo, jako potomków polskiego Adama i polskiej Ewy. Tyle że dzisiaj, po doświadczeniach wojny i propagandy komunistyczno-nacjonalistycznej, znowu bliżej nam do szerokiej definicji tożsamości oraz do tolerancji wobec różnych tożsamościowych wyborów.

PIŁSUDSKI BYŁ W TYM SENSIE I BARDZIEJ ZACOFANY, I BARDZIEJ POSTĘPOWY NIŻ DMOWSKI, ŻE NARÓD WIDZIAŁ PO MICKIEWICZOWSKU: KTO ODNAJDUJE SIĘ W KULTURZE POLSKIEJ WOLNOŚCI, JEST NASZ.

W tę stronę poszedł świat – ten lepszy, do którego wkroczyliśmy po dekadach walki i trudu. I nieoczekiwanie dobrnęliśmy do momentu, w którym miarą patriotyzmu stało się wzdryganie na dźwięk słowa „tolerancja" i wyszydzanie, że wiceministrem w polskim rządzie jest „Ukrainiec" Szeptycki.

eprasa.pl 57937e552f

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

W latach 90. **Donald Tusk** przekonywał, że jednym z poważniejszych problemów Polski jest nadmierna siła związków zawodowych. W rozmowie opublikowanej w „Tygodniku Solidarność” (nr 26 (249) z 25 czerwca 1993 r.) przeprowadzonej przez **Jerzego Kłosińskiego** ówczesny lider Kongresu Liberalno-Demokratycznego opowiadał się za liberalną „kuracją odchudzającą” dla organizacji pracowniczych, uznając je za zbyt rozbudowane i wpływowe. Dziś, przy okazji 45-lecia naszego pisma, wracamy do tamtej rozmowy, której treść zaskakująco dobrze pasuje do współczesności.

Jako odpowiedzialny patriota

– Po Pana niedawnym wystąpieniu, że trzeba ograniczyć rolę związków zawodowych, grupa posłów liberalnych wystąpiła z projektem ustawy o likwidacji związków zawodowych i zastąpieniu ich stowarzyszeniami...

– ... W pana stwierdzeniu jest wiele półprawd. Inicjatywa Korwin-Mikkego, o której pan mówi, nie ma nic wspólnego z moją. I trudno mi brać odpowiedzialność za różne niepoczytalne pomysły. Widać wyraźną gradację między ograniczeniem roli związków zawodowych, czego ja się domagam, a ich likwidacją, o czym mówi projekt Korwin-Mikkego.

– Ale dlaczego w Sejmie został zgłoszony tylko projekt Korwin-Mikkego, a nie Pana? Przecież pod projektem Korwin-Mikkego podpisało się kilku znanych działaczy z Pana klubu?

– To, co jest efekciarskie i przy okazji głupie oraz nie wymaga żadnej pracy, można przygotować w ciągu jednego dnia, jak projekt Korwin-Mikkego, który sprowadza się do krótkiego zdania. A my proponowaliśmy bardzo rzetelne opracowanie projektu we współpracy ze związkami zawodowymi. Liczyliśmy, że zdołamy go przedstawić w połowie lipca.

– A dlaczego Pan chce ograniczyć rolę związków zawodowych?

– Ustawa o związkach zawodowych jest zła, bo jej geneza była dziwaczna. Pochodzi po części z okresu realnego socjalizmu, po części z okresu stanu wojennego, a także i zwycięstwa Solidarności jako ruchu ogólnonarodowego. Załatwiała ona wiele spraw i była wówczas bardzo potrzebna, ale dziś jest już groźna. Jako odpowiedzialny patriota uważałem wówczas, że jest potrzebna silna pozycja związków, bo Solidarność pełniła rolę parlamentu, rządu i ruchu niepodległościowego. Dzisiaj to trzeba zmienić.

– ALE ZA KLD STOJĄ LUDZIE BIZNESU I LUDZIE WŁADZY...

– ZA MOJĄ PARTIĄ STOI MILION GŁOSÓW, DWA RAZY WIĘCEJ, NIŻ UZYSKAŁA SOLIDARNOŚĆ W OSTATNICH WYBORACH...

eprasa.pl 57937e552f

– Mówi Pan zmienić – to znaczy ograniczyć, ale Solidarność od dawna domaga się nowelizacji obecnej ustawy, tylko że rząd w tej dziedzinie nic nie robi.

– Rząd nie ma żadnej możliwości ograniczania inicjatywy ustawodawczej klubów parlamentarnych, a klub Solidarności nigdy nie wyszedł z inicjatywą nowelizacji dotychczasowej ustawy.

– Czy Pana zamiar ograniczenia roli związków zawodowych nie doprowadzi czasem do odejścia od modelu, który wypracowały państwa demokratyczne i zapewniły sobie dzięki temu dobrobyt? Mam na myśli trójpodział na związki pracodawców, pracobiorców i rząd?

– Mnie chodzi o bardzo konkretne punkty ustawy, których nowelizacja w żaden sposób nie zmieni tych poważnych relacji, o których Pan mówi. Zmienić trzeba relacje między związkami zawodowymi a poszczególnymi przedsiębiorstwami. Na przykład nadużywana jest formula strajku solidarnościowego, powinno być ograniczone prawo do strajku pracowników służb publicznych, nie do pomyślenia jest, żeby pracodawca finansował związki zawodowe, i takich punktów jest więcej, ale ich wprowadzenie nie zmniejszy roli central związkowych w negocjacjach z rządem.

MINĄŁ TYDZIEŃ 3

z DONALDEM TUSKIEM — liderem KLD rozmawia JERZY KŁOSIŃSKI

Wywiad tygodnia

Tydzień w Związku

Jako odpowiedzialny patriota

Sprostowanie

Polski Związek Motorowy — OZGO Warszawa

– Jaki kształt przybierze ostatecznie Pana inicjatywa – nie wiemy, ale może być wypadkową Pana umiarkowanej z radykalną Korwin-Mikkego?

– Może Pan być absolutnie spokojny. Wypadkowa sił w poprzednim parlamencie była korzystna dla pracobiorców, a nie pracodawców i tak samo będzie w przyszłym parlamencie. Nie drżyjmy tak nad losem związków zawodowych, które zostaną zaraz połknięte przez KLD.

– Ale za KLD stoją ludzie biznesu i ludzie władzy...

– Za moją partią stoi milion głosów, dwa razy więcej, niż uzyskała Solidarność w ostatnich wyborach parlamentarnych, i gwarantuję, że w jej szeregach jest więcej zwolenników pracobiorców niż ludzi wielkiego biznesu.

– Czy zgłaszając swoją inicjatywę, miał Pan na myśli przede wszystkim związek zawodowy Solidarność?

– Nie. Myślałem o związkach zawodowych, które nadużywają formuły związkowej w celach jawnie politycznych, np. Lepper, ale także miałem na myśli wypowiedzi Macieja Jankowskiego.

– Ale Pana inicjatywa dotyczy wszystkich związków zawodowych. Jaką legitymację ma Pan do ograniczania ich roli, także Solidarności, która jest podporą reform?

– Do początku 1991 r. Solidarność była jednoznaczną siłą gwarantującą szansę Polski na reformy, ale od kilku miesięcy mamy do czynienia z upadkiem związku zawodowego Solidarność jako jednolitego ruchu. Jest obecnie kilka Solidarności, dramatycznie ze sobą sprzecznych. A gdy chodzi o moją legitymację do wysuwania projektów o ograniczeniu roli związków zawodowych, to jest nim mandat parlamentarzysty. Mam pomysł, o którym wiadomo, że jest liberalny i liczę, że ludzie w jakimś wymiarze w nadchodzących wyborach mnie poprą.

eprasa.pl 57937e552f

(Nie)chciany aneks WSI

ZNÓW TRAFI DO SEJFU

Miał być wielki krok w stronę rozliczenia III RP. Choć mityczny „Święty Graal prawicy", jakim jest aneks do raportu z likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, miał w końcu ujrzeć światło dzienne, to twarde realia prawne zmusiły prezydenta Karola Nawrockiego do **odwrotu**. Tę rozgrywkę najwyraźniej przegrał, choć ostatnie słowo w tej sprawie jeszcze z pewnością nie padło.

Andrzej Gajcy

Dotychczas żaden prezydent III RP nie zdecydował się na odtajnienie tych materiałów, które prawie dwie dekady przeleżały w kancelarii tajnej Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Aneksu nie chcieli pokazać opinii publicznej ani Lech Kaczyński, ani Bronisław Komorowski, ani Andrzej Duda. Powód? Wszyscy trzej prezydenci widzieli w tej decyzji znacznie więcej problemów i politycznych min niż korzyści.

W sposób najbardziej jednoznaczny wypowiedział się na ten temat prezydent Lech Kaczyński. – Antoni Macierewicz ma jedną przypadłość: nie odróżnia swoich interpretacji od faktów, a tez publicystycznych od twardych dowodów. Aneks nie ujrzy światła dziennego dopóty, dopóki będę prezydentem – tak w 2007 roku w wywiadzie dla „Wprost" ocenił aneks ówczesny prezydent RP.

Niedawno do jego słów nawiązał prezes PiS Jarosław Kaczyński, który przyznał swemu tragicznie zmarłemu bratu pełną rację. – Nie uważam, żeby to upublicznienie było jakimś szczególnie ważnym aktem. Przyłączam się do tego, co kiedyś powiedział mój świętej pamięci brat, że tam jest wiele tez o charakterze publicystycznym, a nie takim, które powinny być w tego rodzaju dokumencie – mówił w kwietniu tego roku Jarosław Kaczyński, dodając jeszcze, że ujawnienie aneksu byłoby „ryzykowne".

Nawrocki zapoznał się z całą treścią tego aneksu, podobnie jak trzej prezydenci przed nim. Do tej pory niewiele osób miało taką możliwość, ale dopiero Nawrocki podjął decyzję, że ten dokument trzeba ujawnić.

NAROSŁE WOKÓŁ ANEKSU LEGENDY UCZYNIŁY Z NIEGO KLUCZOWY ELEMENT PRAWICOWEJ TOŻSAMOŚCI POLITYCZNEJ.

Dlaczego Nawrocki obudził demony?

Dlaczego więc jego odtajnienia chce prezydent Karol Nawrocki? To pytanie wciąż się przewija i chyba najprostszą odpowiedzią jest ta, że jako były szef IPN doskonale zdaje sobie sprawę, że konieczne jest rozliczenie się z przeszłością i zamykanie pewnych niedopowiedzianych rozdziałów. Pewne jest, że prezydent

Tą zapowiedzią obudził uśpione demony przeszłości. I rację mają ci, którzy wskazują na ogromne poruszenie wśród kręgów dzisiejszej władzy, które dość nerwowo za każdym razem zaczęły reagować na kolejne doniesienia w sprawie odtajnienia aneksu. Z jednej strony pojawiały się głosy, że aneks to właściwie nic ciekawego, nic niewart dokument i czysta historia, którą

eprasa.pl 57937e552f

Fot. Zbyszek Kaczmarek / Forum

można całkowicie zlekceważyć. Z drugiej strony widoczna jest wręcz paniczna reakcja środowiska politycznego związanego z dawnym WSI – zwłaszcza wśród posłów dzisiejszej Nowej Lewicy, na czele której stoi Włodzimierz Czarzasty.

Warto przypomnieć, że to posłowie ówczesnego SLD głosowali przeciwko likwidacji WSI w 2006 roku. Za likwidacją WSI była wtedy także niemal cała Platforma Obywatelska z Donaldem Tuskiem na czele. Co ciekawe, jedynym politykiem PO, który wówczas się wyłamał i zagłosował przeciw likwidacji WSI, był Bronisław Komorowski. To środowisko polityczne i medialne bardzo wyraźnie zwarło teraz szyki i podjęło ofensywę w postaci zablokowania wszelkiej możliwości procedowania tego dokumentu. Czy ta reakcja pozwala postawić tezę, że aneks, który przeleżał 18 lat w prezydenckim sejfie, musi być ciągle aktualny? A w nim muszą być rzeczy, które w jakiś sposób na nowo naświetlą nam polską rzeczywistość, a informacje w nim zawarte są dla tego środowiska po prostu niewygodne?

Co kryje „Święty Graal" prawicy?

Narosłe wokół aneksu legendy uczyniły z niego kluczowy element prawicowej tożsamości politycznej. Stał się on fundamentem położonym pod budowę narracji o układzie postkomunistycznym, trzymającym władzę w III RP, w którym przenikają się interesy ludzi biznesu, świata mediów, ludzi dawnej nomenklatury komunistycznej i służb specjalnych. Zdaniem Jarosława Kaczyńskiego to właśnie przy tym „brydżowym stoliku" narodziła się III RP, a powstałe przy nim formalne i nieformalne struktury władzy rządzą Polską do dzisiaj i są jej największym przekleństwem.

Co dokładnie ma zawierać sam aneks? Nieoficjalne przecieki

eprasa.pl 57937e552f

dotychczas sugerowały, że zawiera on liczne załączniki oraz opis spraw nieporuszonych w jawnym raporcie. A nawet „listę nazwisk" osób ze świata polityki, biznesu czy mediów, które współpracowały z WSI, a dziś wciąż zajmują ważne stanowiska. Prawdopodobnie mogą tam być także opisane nieprawidłowości przy strategicznych prywatyzacjach wielkich spółek Skarbu Państwa z lat 90. oraz kulisy takich afer jak choćby FOZZ. Jeśli choć część z tych domysłów jest prawdziwa, odpowiedzi na wiele pytań nasuwają się same.

DO TEJ PORY NIEWIELE OSÓB MIAŁO TAKĄ MOŻLIWOŚĆ, ALE DOPIERO NAWROCKI PODJĄŁ DECYZJĘ, ŻE TEN DOKUMENT TRZEBA UJAWNIĆ.

Blokada marszałków i brak kontrasygnaty

Od samego początku prezydenckiej kadencji w BBN trwały prace nad dostosowaniem dokumentu i anonimizacją zgodną z wyrokami sądowymi i orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego. Jednak cała procedura odtajnienia mocno się skomplikowała. Nie chodzi bynajmniej o zwłokę marszałków Sejmu i Senatu, którzy mogli wydać swoją opinię w tej sprawie lub tego nie zrobić. Nie są one i tak wiążące, ale etap ten był koniecznym wymogiem w całej procedurze dotyczącej odtajnienia dokumentu.

Kluczowym problemem stała się zapowiedź braku kontrasygnaty premiera Donalda Tuska pod wnioskiem o odtajnienie aneksu do raportu WSI. A bez jego zgody – jak się okazuje – dokument nie może zostać upubliczniony. W Pałacu Prezydenckim takiego scenariusza nikt miał jednak nie przewidzieć wcześniej. Jeszcze do niedawna analizy prawne, które miał otrzymać prezydent Nawrocki, wskazywać miały, że taka kontrasygnata nie jest konieczna. Choć w ustawie o likwidacji WSI nie ma mowy o wymogu kontrasygnaty szefa rządu, to jej konieczność wynika wprost z art. 144 ust. 3 konstytucji. Czy zatem prezydenta ktoś z jego własnej kancelarii wprowadził w błąd? Bardzo możliwe, że ktoś zwyczajnie nie doczytał przepisów. Brak kontrasygnaty to spory problem, który skazuje prezydenta Nawrockiego de facto na porażkę w tym politycznym starciu.

Czy Kancelaria Prezydenta ominie przepisy?

Oczywiście fakt odmowy udzielenia kontrasygnaty przez premiera Tuska będzie można politycznie wykorzystać, stawiając publicznie pytania: czego boją się rządzący i czy mają coś do ukrycia? Na pewno też podjęto próby znalezienia innej formuły, by aneks można było ujawnić, lecz dotychczas bez sukcesu. W kancelarii nikt nie chce wsadzić prezydenta na minę – odtajnienie aneksu bez podpisu premiera naraziłoby go na zarzut złamania prawa.

Jaki plan ma teraz Kancelaria Prezydenta? Oficjalnie trwają kolejne analizy, sprawa ma nie być dla prezydenta Nawrockiego zamknięta. Jednak w zakulisowych rozmowach prezydenccy ministrowie przyznają, że o ewentualnych terminach ogłoszenia dalszych kroków i możliwego ujawnienia aneksu nie ma teraz mowy. Sprawa wraca więc do punktu wyjścia, a mityczny dokument – przynajmniej na razie – ponownie ląduje na dnie prezydenckiego sejfu.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko"
ks. Jan Twardowski

Naszej redakcyjnej Koleżance oraz Jej Mężowi

Beacie i Arturowi Rojkom

wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
z powodu śmierci

Teściowej i Mamy

składają
koleżanki i koledzy
z redakcji „Tygodnika Solidarność"

eprasa.pl 57937e552f

KARUZELA BLOGERAMI

FODDER FERDYNAND

ANNE APPLEBAUM NA PREZYDENTA

Anne Applebaum, żona ministra Radosława Sikorskiego i dumna reprezentantka liberalnej międzynarodówki, wygłosiła niedawno w Wiedniu wiekopomne przemówienie dla Europy. Ogłosiła w nim nadejście długo wyczekiwanego „europejskiego momentu": szansy na strategiczną autonomię Unii Europejskiej.

„Europa pozostaje oazą bezpieczeństwa, stabilności i praworządności – zaczarowała pani Applebaum – a dzięki UE kraje europejskie są również bardziej suwerenne". Niestety, unijne instytucje działają tak dobrze, że niewdzięczni Europejczycy zapomnieli, iż są one wynikiem czyjejś „ciężkiej pracy" i „trudnych kompromisów". Pozbawieni instytucjonalnej jasności tubylcy dają się porywać wszelkiej maści „odrzuconym tekstom, zapomnianym koncepcjom i mgliście pamiętanym teoriom" (jak wynika z tekstu przemówienia, chodzi oczywiście o sławnych przeciwników centralizacji Unii Europejskiej: Carla Schmitta, Włodzimierza Lenina i Adolfa Hitlera).

Co gorsza, lista zagrożeń nie kończy się na tych wewnętrznych. „Z jednej strony mamy do czynienia ze zbrojnym, zradykalizowanym rosyjskim reżimem – symetryzuje publicystka – z drugiej [...] ze zradykalizowanym ruchem wewnątrz amerykańskiej administracji, który definiuje nasze społeczeństwa jako cywilizacyjnego wroga". Gdzieś tam, schowane za jankeskim problemem, czają się nawet Chiny. Pekin jawi się jednak jako konkurent – Waszyngton, jednoznacznie, jako wróg.

Na szczęście otrzymujemy też odpowiednią receptę na te bolączki: potrzeba więcej Europy. „Możemy podjąć walkę – nie przez rozmawianie, lecz budowanie", słyszymy. Rąk do pracy z pewnością nie zabraknie – widać to choćby po komentarzach zostawianych pod nagraniem w serwisie YouTube, puchnących euroentujazmem. „Przemówienie równie mocne, jak to wygłoszone przez Carneya w Davos" – głosi jeden z nich (odnosząc się do przemowy, w której premier Kanady ukląkł przed chińskim majestatem). „No pasaran!" – zanosi się kolejny. W kilku komentarzach przebija się wyraźna propozycja: „Anne Applebaum na prezydenta!".

Czasem, późną nocą, gdy codzienność zastyga na tyle, by złapać w końcu oddech, dopada mnie głęboki niepokój na myśl o tym, że Donald Tusk i jego podkomendni – ludzie rządzący obecnie Polską – zamieszkują dokładnie ten sam świat wyobrażony, co pani Anne Applebaum. Świat, w którym stwórcza moc słowa i gestu – i „budowanie" – zastąpić może surowce, technologię i potencjały. W którym Ukraina wygrywa z Rosją bez amerykańskiej pomocy, a Niemcy już jutro staną się wiarygodnym dostarczycielem bezpieczeństwa na wschodniej flance. Europo, musisz! Energetycznie rozbrojona rzucisz wyzwanie wszystkim i zwyciężysz. I ani na moment nie spojrzysz w stronę rosyjskich węglowodorów. Potem jeszcze tylko przetrącić kark europejskim nacjonalizmom, pogrzebać pomarańczowy populizm i można pójść wspólnie na lody, o ile pani rzecznik praw dziecka pozwoli.

Złośliwi mogliby wskazać, że nie o „Europę" jako taką tu chodzi, lecz o liberalne elity uznające ją za swoją własność. Jeszcze złośliwsi wskazaliby, że niektórym z nich jawi się dziś wizja „odwróconego D-Day", w którym zjednoczona, scentralizowana Unia pozwoliłaby wziąć desantem (oczywiście: wyobrażonym) krnąbrne Stany. Tylko władza po obu stronach Atlantyku dałaby szansę na powrót do systemu, w którym kto miał się bogacić, ten się bogacił – a komu się nie podobało, ten powinien się doedukować.

„Żyjemy w momencie wielkich zmian, tak znaczących i brzemiennych w skutki, jak koniec komunizmu w 1989 roku", zauważyła w swoim przemówieniu pani Applebaum. Ma rację. Nie dostrzegła tylko, że tym razem chodzi raczej o koniec ery liberalizmu.

eprasa.pl 57937e552f

Najgorsi ministrowie Tuska

Medialne doniesienia o planowanej **jesiennej rekonstrukcji rządu** to doskonała okazja, by przyjrzeć się, w jakim stanie znajduje się obecny gabinet niespełna półtora roku przed wyborami parlamentarnymi. Jednocześnie warto zastanowić się, co słabość najgorzej ocenianych ministrów mówi nam o kondycji całego rządu i o priorytetach Donalda Tuska.

Marek Nowak

Jolanta Sobierańska-Grenda

Fot. Krzysztof Zuczkowski / Forum

eprasa.pl 57937e552f

W połowie maja, powołując się na nieoficjalne źródła, Wirtualna Polska ogłosiła, że zarówno minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda, jak i minister sprawiedliwości Waldemar Żurek mogą nie dotrwać na swoich stanowiskach do przyszłorocznych wyborów parlamentarnych. – Jeśli chcemy utrzymać władzę, Grenda z Żurkiem nie powinni dostawać drugich szans. Zawalili w kilku sprawach, nie dowożą – mówił portalowi jeden z rozmówców.
O przygotowywanej jesiennej rekonstrukcji rządu piszą już niemal wszystkie media. Na giełdzie nazwisk ministrów, którzy mają się wtedy pożegnać z piastowaną funkcją, oprócz wymienionej dwójki często pojawia się również minister kultury i dziedzictwa narodowego Marta Cienkowska czy otwierająca wszystkie rankingi najgorzej ocenianych członków obecnego rządu ministra edukacji Barbara Nowacka. Donald Tusk często traktował kolejne rekonstrukcje kierowanych przez siebie gabinetów jako swoiste medialne przykrywki mające ogniskować medialną uwagę na kwestiach kadrowych rządu, a odciągać ją od jego niepowodzeń i piętrzących się problemów. Stosunek szefa rządu do poszczególnych ministrów zawsze był brutalnie instrumentalny. W listopadzie 2011 roku, prezentując swój drugi rząd, Tusk powiedział:
– To rząd na trudne czasy, rząd zderzaków.

Spopularyzowane wówczas przez premiera określenie ministrów „zderzakami" stawiało ich w swoistej roli chłopców do bicia, których celem funkcjonowania jest osłona szefa rządu przez bezpośrednią krytyką społeczną. Takie myślenie o współpracownikach obecny premier zdaje się mieć głęboko zakorzenione. Niemniej, obecny, trzeci już gabinet kierowany przez Donalda Tuska przechodził już rekonstrukcje, która w żaden sposób nie poprawiła jego jakości. Naturalne więc wydaje się pytanie, czy kolejna zmiana wewnątrz rządu mogłaby dać nowy impuls? Tu jestem bardzo sceptyczny. Najpierw powinna być jakaś – przynajmniej w miarę spójna – idea, potem strategia odnośnie do jej realizacji, a dopiero na końcu refleksja na temat tego, kto najlepiej będzie daną strategię realizował. Obejmując władzę, obecny rząd miał duży kredyt zaufania w różnych grupach społecznych głosujących na poszczególne ugrupowania, które weszły w jego skład. Progresywni kulturowo wyborcy liczyli, że po 8 latach rządów prawicy uda się zrealizować istotną część ważnych dla nich postulatów, a młodzi wyborcy Trzeciej Drogi liczyli na wyjście poza polaryzacyjną logikę obecnej polityki w stronę bardziej skupionej na sporach o konkretne programy i rozwiązania. Już pierwsze miesiące pokazały, że kluczowe z punktu widzenia wyborczego rozstrzygnięcia 2023 roku grupy społeczne nie doczekały się spełnienia swoich oczekiwań. Potem, z kolejnymi miesiącami, następne grupy się rozczarowywały, a rząd nie był w stanie w przekonujący dla nich sposób wytłumaczyć swoich niepowodzeń. Niezwykle mało prawdopodobne jest, że zamiana kilku ministrów na nowych wpłynie w istotny sposób na ten obraz. Odkładając jednak na bok logikę polityczną, spróbujmy spojrzeć na kwestie zbliżającej się rekonstrukcji przez pryzmat publicystyczny. Każda rekonstrukcja jest okazją do przyjrzenia się konkretnemu gabinetowi i tworzącym go ministrom. Którzy są najgorsi? Co ich słabość mówi nam o konkretnym rządzie? Poniżej przedstawię trójkę najgorszych – w mojej ocenie – ministrów obecnego rządu. Kolejność jest przypadkowa.

Jolanta Sobierańska-Grenda – cicha likwidatorka publicznej służby zdrowia

Jolanta Sobierańska-Grenda objęła resort zdrowia w lipcu 2025 roku, podczas poprzedniej rekonstrukcji rządu, zastępując powszechnie krytykowaną Izabelę Leszczynę. Jako była prezeska Szpitali Pomorskich od razu zapowiedziała „optymalizację" i „konsolidację" sieci szpitali, stwierdzając, że Polska ma „o około 30 proc. za dużo szpitali". Kluczowym narzędziem do realizacji tego planu stała się ustawa o szpitalnictwie z 2025 roku umożliwiająca samorządom elastyczne łączenie placówek, przeprofilowanie i likwidację oddziałów bez utraty kontraktu NFZ-u. Tu pojawia się pierwszy problem. Na czym oparte jest to przekonanie o 30-procentowym nadmiarze

TO, ŻE NAJSŁABSZYMI OGNIWAMI RZĄDU SĄ MINISTROWIE ODPOWIEDZIALNI ZA ZDROWIE, EDUKACJĘ I WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI, JEST NIEZWYKLE WYMOWNE.

eprasa.pl 57937e552f

szpitali? Na początku roku wiceprezes NFZ Jakub Szulc stwierdził, że „jedna lecznica powinna przypadać na 150–200 tys. mieszkańców, a w naszym kraju jest jedna na 60 tys. obywateli". Tyle że to zwykłe statystyczne kuglarstwo. Nie uwzględnia ono choćby refleksji nad stanem zdrowia danego społeczeństwa, a w polskim przypadku mówimy o społeczeństwie starzejącym się i – jak pokazują dane OECD – bardzo przepracowanym. To jednak pewna specyfika, którą służba zdrowia w danym kraju powinna uwzględniać. Kolejną jest stan transportu publicznego, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Już sama likwidacja szpitali powoduje realne pogorszenie dostępności świadczeń w mniejszych ośrodkach i zmusza pacjentów z nich pochodzących, często starszych, schorowanych ludzi, do jazdy dziesiątki lub setki kilometrów, co samo w sobie jest bezduszną polityką. Jeśli dodamy do tego problemy z transportem publicznym w małych miejscowościach, o czym często mówi najbardziej merytoryczna lewicowa posłanka Paulina Matysiak, to ten obraz robi się jeszcze bardziej ponury. Poza tym, warto pamiętać, że państwo to nie są abstrakcyjne liczby rzucane przez bezrefleksyjnych statystyków. Państwo rozumiane w sposób głęboki składa się z delikatnej tkanki społecznej. W Polsce lokalnej: szkoła, posterunek policji, placówka pocztowa czy właśnie szpital w danej miejscowości są częścią lokalnego „społecznego krwiobiegu". Obecne rządy, w tym lewica, która będąc w opozycji, często głosiła hasło o „dostępności usług publicznych", wszystkie te instytucje zwijają. Czy pani minister Sobierańska-Grenda i pan wiceprezes Szulc w ogóle zadali sobie pytania o skutki społeczne swojej polityki? Te są widoczne w liczbach. W latach 2024–2025 (częściowo pod poprzednim, a później obecnym kierownictwem resortu) doszło do 95 likwidacji i 444 zawieszeń oddziałów w 201 szpitalach. Najczęściej likwidowano pediatrię, internę, ginekologię i porodówki w szpitalach powiatowych. Twarz rzekomo prokobiecego rządu okazała się w praktyce swojego działania dość antykobieca. W 2026 roku 25 placówek złożyło wnioski o likwidację całodobowych oddziałów; NFZ w niektórych przypadkach płaci za zamknięte oddziały 50 proc. poprzedniego kontraktu przez dwa lata, co ma zachęcić do tej swoistej „restrukturyzacji". Tu dochodzimy do kolejnego problemu. Jaki jest cel działania obecnego kierownictwa resortu zdrowia? To, że nie jest nim poprawa usług, widać już gołym okiem. Co zatem jest? Na razie mamy budowę dwutorowego systemu, w którym bogatsi korzystają z prywatnej opieki zdrowotnej, a biedniejsi są skazani na czekanie w coraz dłuższych kolejkach lub zapożyczanie się na prywatne wizyty. To klasyczna „oddolna prywatyzacja". Czy ma posłużyć za wstęp do pełnej prywatyzacji? Niestety, wiele na to wskazuje.

ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ PEDAGOGÓW (84–90 PROC.) OCENIA ZMIANY W SZKOLNICTWIE JAKO NIEKORZYSTNE DLA UCZNIÓW.

Barbara Nowacka – dyrektorka szkoły nierówności

O tym, jak Barbara Nowacka tworzy szkołę, która pogłębia społeczne nierówności, pisałem na łamach naszego tygodnika osobny tekst. Tu skupię się na najgłośniejszym i najbardziej symbolicznym posunięciu, jakim było rozporządzenie z marca 2024 roku znoszące obowiązkowe prace domowe w szkołach podstawowych. Raport Instytutu Badań Edukacyjnych z października 2025 roku, oparty na reprezentatywnej próbie ponad 2000 szkół, po pełnym roku funkcjonowania zmian, może budzić niepokój. Zdecydowana większość pedagogów (84–90 proc.) ocenia zmiany jako niekorzystne dla uczniów. Najczęściej wskazywane problemy to: spadek motywacji do nauki (ok. 85 proc. w klasach IV–VIII), obniżenie samodzielności (77–90 proc.) oraz trudności z utrwalaniem materiału (91 proc. nauczycieli). Jednak najbardziej szkodliwy efekt likwidacji prac domowych ma wymiar stricte klasowy i jak do tej pory umyka z pola widzenia. Uczniowie z domów o lepszej sytuacji materialnej kwestie braku zadań domowych zrekompensują sobie na płatnych korepetycjach czy na dodatkowych płatnych zajęciach. Mówiąc wprost – rodzice kupią im dostęp do wiedzy i umiejętności, których szkoła przestała już dostarczać. Dziecko z rodziny, której zarobki ledwo starczają na utrzymanie, nie będzie miało już takiej możliwości. Nowacka tłumaczy, że dzięki jej reformie

eprasa.pl 57937e552f

„dzieci mają czas na rozwój". Tylko naprawdę trudno te zapewnienia traktować poważnie. W praktyce oznacza to, że jedni ten rozwój sobie kupią, drudzy – nie. Podobny efekt może przynieść odchudzanie programów nauczania, obniżanie wymagań i rozmywanie standardów edukacyjnych. Im słabsza szkoła państwowa, tym większa rola kapitału kulturowego i finansowego rodziców. Polska szkoła pod rządami Nowackiej staje się mechanizmem reprodukcji nierówności klasowych. To jedna z najbardziej szkodliwych i jednocześnie najmniej dostrzeganych porażek tego rządu. Za to osobistą odpowiedzialność ponosi pani ministra.

Waldemar Żurek – pozbawiony wyobraźni fanatyk

Waldemar Żurek zastąpił Adama Bodnara w lipcu 2025 roku. Podobnie jak w przypadku minister zdrowia był produktem poprzedniej rekonstrukcji rządu. Wybór upolitycznionego sędziego bez znaczącego dorobku na tak ważną państwową funkcję był ukłonem premiera w kierunku najtwardszego elektoratu. Nowy minister miał przyśpieszyć proces „rozliczenia PiS-u", a także usprawnić funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Po prawie roku urzędowania Żurkowi udało się upolitycznić wymiar sprawiedliwości w stopniu wcześniej w Polsce nieznanym, niszczącym resztki zaufania Polaków do państwa prawa. – Zacząłem od tego, co jest w moim najbliższym zasięgu, czyli sądy. W pierwszych tygodniach mojego urzędowania zaraz przystąpiłem do tego, żeby oczyścić tę sytuację, bo ja muszę mieć w sądach osoby, co do których mam zaufanie – deklarował w jednym z wywiadów. Wszelkie opowieści o „odpolitycznianiu" prokuratury po PiS można oczywiście włożyć między bajki. Wszelkie podejmowane decyzje szły w kierunku ręcznego sterowania wymiarem sprawiedliwości. W rezultacie ludzie z obozu obecnej władzy mają swoisty glejt bezkarności, a postępowania przeciw nim są umarzane, czego najbardziej jaskrawym przykładem jest śledztwo w sprawie Romana Giertycha dotyczące wyprowadzenia pieniędzy ze spółki Polnord oraz prania brudnych pieniędzy. Z kolei przeciwnicy polityczni są bardzo chętnie przez wymiar sprawiedliwości nękani, często przy użyciu kompletnie absurdalnych zarzutów. Minister nie reaguje również na pogłębiający się chaos w sądownictwie. Na skutek rozpolitykowania części środowiska tropiących tzw. neosędziów, co jest określeniem publicystycznym niemającym żadnego prawnego umocowania, przestępcy wychodzą na wolność. Wyroki uchylane są m.in. w sprawach rozwodowych, co wywołuje ogromny chaos i niepewność, które nie powinny występować w tak wrażliwej sferze jak wymiar sprawiedliwości. Obecny minister, który jest typem politycznego fanatyka pozbawionego wyobraźni, nie widzi tego, jak bardzo szkodliwą politykę prowadzi. Jednak niedostrzeganie skutków własnej polityki nie zwalnia z odpowiedzialności za nią.

Co nam mówi ich słabość?

To, że najsłabszymi ogniwami rządu są ministrowie odpowiedzialni za zdrowie, edukację i wymiar sprawiedliwości, jest niezwykle wymowne. Te trzy obszary stanowią fundament funkcjonowania państwa. Jeśli państwo nie radzi sobie z podstawowymi funkcjami – ochroną zdrowia obywateli, zapewnieniem równego startu edukacyjnego i gwarantowaniem sprawiedliwego sądownictwa – to trudno mówić o dobrze funkcjonującej wspólnocie politycznej. Pogarszające się notowania rządu pokazują, że coraz większa część społeczeństwa dostrzega tę elementarną porażkę. Donald Tusk, doskonale świadomy sytuacji, przygotowuje kolejną operację wymiany „zużytych zderzaków". Pytanie brzmi jednak nie tylko, kto odejdzie, ale przede wszystkim – czy problem leży wyłącznie w ministrach, czy może w samym kierowcy tego pojazdu i w kierunku, w którym jest prowadzony. Praktyka pokazuje, że wymiana zderzaków rzadko ratuje samochód, którego silnik i układ kierowniczy wymagają gruntownej naprawy.

W LATACH 2024–2025 NAJCZĘŚCIEJ LIKWIDOWANO PEDIATRIĘ, INTERNĘ, GINEKOLOGIĘ I PORODÓWKI W SZPITALACH POWIATOWYCH. TWARZ RZEKOMO PROKOBIECEGO RZĄDU OKAZAŁA SIĘ W PRAKTYCE DOŚĆ ANTYKOBIECA.

eprasa.pl 57937e552f

Twórca kontra masy

To było jak cios obuchem w głowę. Artyści nagle się przekonali, że Polacy nie tylko za nimi nie przepadają, ale wręcz kompletnie ich **nie szanują**. Mają w nosie ich los, wrażliwość i poglądy. Nie uznają ich za ludzi w żaden sposób wyjątkowych.

Mariusz Staniszewski

Nic tak nie sprowadziło na ziemię artystycznych, wrażliwych dusz jak dyskusja wokół projektu wsparcia dla osób wykonujących zawody artystyczne. Chodzi m.in. o to, by państwo, czyli obywatele, ze swoich własnych podatków, fundowali różnej maści twórcom ubezpieczenia emerytalne.

Pomysł ma dwa wymiary. Pierwszy – polityczny – jest trywialnie prosty. O tym, czy ktoś jest lub nie jest artystą, będzie decydowała ministerialna komisja. Urzędnicy nie dość, że dostaną okazję, by sporo zarobić, analizując wnioski, to jeszcze zbudują sobie całą armię uzależnionych od siebie klientów. Nawet najmniej rozgarnięty twórca zrozumie, że jeśli będzie popierał odpowiednią opcję, dostanie świadczenia. W ten sposób rządząca koalicja chce przenieść na poziom ogólnopolski mechanizmy funkcjonujące od dawna w samorządach, a szczególnie w dużych miastach. Tam lokalni artyści – szczególnie ci mniej zdolni, ale hałaśliwi – utrzymują się dzięki łasce miejscowych kacyków, a w zamian odpłacają się wyrażanym głośno wsparciem.

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 57937e552f

Projekt ma jednak jeszcze aspekt symboliczny. Specjalne świadczenia trafiają przecież zawsze do grup szczególnie uprzywilejowanych. Artyści – nawet całkowicie pozbawieni talentu, wytrwałości i zdolności do systematycznej pracy – oczywiście uważają się za elitę, więc darmową emeryturę uznali za akt dziejowej sprawiedliwości. Wówczas okazało się, że dla wielu Polaków od niewydarzonych twórców ważniejsze są kasjerki z supermarketu, które nie tylko wykonują ciężką i pożyteczną pracę, ale też nikogo nie proszą o łaskę.

Promowanie brzydoty

Logika i zachowanie minister kultury i dziedzictwa narodowego Marty Cienkowskiej przypominały nieco przygody Kubusia Puchatka. Im bardziej przekonywała, że artystom, którym nie powiodło się na rynku, należą się specjalne świadczenia, tym bardziej jej argumentacja była pozbawiona sensu. Sympatyczny miś nie rościł sobie jednak pretensji do bycia intelektualistą – przeciwnie swoją prostoduszność i naiwność uznawał za zaletę, a myśleniem za bardzo sobie głowy nie zawracał, bo i tak wiele by z tego nie wyszło.

eprasa.pl 57937e552f

Minister Cienkowska w ślady Kubusia nie poszła i wytężała umysł, by przekonać do swoich racji. Pokazywała więc kolejnych wyrobników, których ohydna, a nawet obsceniczna twórczość tylko utwierdzała zwykłych ludzi w przekonaniu, że ktoś z nich robi wała. Dlaczego nagradzany ma być człowiek powiększający i tak sporą w Polsce sferę brzydoty, której dodatkowo nikt nie chce ani kupować, ani nawet oglądać? To jawne promowanie miernot.

Kolejni obrońcy projektu Marty Cienkowskiej przekonywali, że celem takiego rozwiązania jest uchronienie artystów przed losem Cypriana Kamila Norwida, który – choć był genialnym, wyprzedzającym swoją epokę poetą – zmarł w biedzie. Tyle tylko że to argument wyjątkowo demagogiczny. Norwid zmagał się nie tylko z ubóstwem, ale głównie z samym ze sobą. Podobne przykłady z historii literatury i sztuki można mnożyć w nieskończoność: swoich obrazów nie sprzedawali francuscy impresjoniści, z głodu przymierał Marek Hłasko, a Mozarta pochowano w bezimiennym grobie.

Czy traktowanie ich lepiej od innych spowodowałoby, że ich los, by się odmienił? Obdarzony niebywałym talentem bard i poeta Jacek Kaczmarski uciekł z Polski i w Australii żył z zasiłku. Czy dzięki temu komponował więcej i lepiej? Artyści zderzają się z takimi samymi problemami życiowymi jak wszyscy inni. Tyle tylko że ich potknięcia są sprawą publiczną, dlatego są bardziej widoczne.

Odlot elit

Oni jednak wierzą, że są obdarzeni większą wrażliwością, wiedzą i posiadają wyższą świadomość. Nie tylko wyrastają ponad przeciętność, ale tak mocno utożsamiają się ze swoim dziełem, że się nim stają. Wierszem czy powieścią, które napisali, zagraną rolą teatralną, namalowanym obrazem czy skomponowaną lub zagraną muzyką. To ma ich przenieść na wyższy poziom istnienia.

Artyści, którym się powiodło, są w rzeczywistości przedsiębiorcami. Rozliczają podatki jako firmy, stoją za nimi menedżerowie, agenci, PR-owcy i całe zaplecze administracyjne. Daleko im do przymierających głodem malarzy z Montmartre czy poetów, którzy z rozwianym włosem przemierzali ulice Warszawy czy Krakowa.

I właśnie taki opływający w pieniądze, sławę i blichtr aktor – Paweł Deląg – próbował stanąć w obronie projektu minister Cienkowskiej.

– Kultura to nie „dodatek" do gospodarki. To część gospodarki i to coraz ważniejsza. Przemysły kultury i kreatywne generują w Polsce około czterech procent PKB i tworzą dziesiątki miliardów złotych wartości rocznie. To setki tysięcy miejsc pracy: aktorzy, muzycy, filmowcy, twórcy gier, pisarze, animatorzy, technicy, scenografowie, montażyści, graficy, projektanci. Kraj, który przestaje szanować własną kulturę i własnych twórców, sam sobie strzela w stopę – stwierdził.

Aktor – jak to aktor – mówi mądrze głównie wtedy, gdy powtarza wyuczoną rolę. Kiedy zaczyna ujawniać własne myśli, wychodzi właśnie tak, jak w tym przypadku. Skoro kultura i przemysł kreatywny stanowią tak znaczną część naszej gospodarki, to dlaczego mamy tym ludziom fundować emerytury? Jeśli przemysł szeroko rozumianej rozrywki daje takie możliwości, to nawet przeciętni artyści powinni sobie na tym rynku poradzić.

Najistotniejsze jest jednak to, że nie wszystko, co robi twórca, jest sztuką. Często to zwykła szmira lub ohyda, którą raczej powinno się chować przed oczami co bardziej wrażliwych odbiorców.

Najlepszą weryfikacją dziwactw wyczynianych przez ludzi dotkniętych talentem jest rynek. Jeśli obrzydliwe obrazy, rzeźby czy beznadziejna muzyka nie znajdują

LOGIKA I ZACHOWANIE MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO MARTY CIENKOWSKIEJ PRZYPOMINAŁY NIECO PRZYGODY KUBUSIA PUCHATKA. IM BARDZIEJ PRZEKONYWAŁA, ŻE ARTYSTOM, KTÓRYM NIE POWIODŁO SIĘ NA RYNKU, NALEŻĄ SIĘ SPECJALNE ŚWIADCZENIA, TYM BARDZIEJ JEJ ARGUMENTACJA BYŁA POZBAWIONA SENSU.

eprasa.pl 57937e552f

wielbicieli, to autor musi stanąć przed dylematem: czyja estetyka jest niewłaściwa: jego czy publiczności? Jeśli nadal będzie uznawał się za geniusza, nic go nie zatrzyma przed dalszym tworzeniem: ani bieda, ani konieczność imania się mniej ambitnych zajęć.

Przed podobnym dylematem codziennie stają tysiące ludzi: albo zmienią branże i idą do przodu, albo trwają przy swoim zajęciu, tracą pracę i popadają w nędzę. Zecerom, fotografom czy maszynistkom nikt nie fundował darmowych emerytur tylko dlatego, że uważali się za wyjątkowych. Co więcej, ich kwalifikacje były często znacznie wyższe niż tych, których stara się uszczęśliwić minister Cienkowska.

Kubeł zimnej wody

Najwięcej emocji wśród zwykłych ludzi – co było widać w komentarzach zamieszczonych w internecie – budziło jednak to bezwstydne poczucie wyższości. Podkreślanie, że człowiek, który każdego dnia wstaje o czwartej czy piątej rano, a następnie przez osiem godzin sumiennie i dokładnie wypełnia swoje obowiązki, czym ułatwia życie innym, jest mniej wart od beztalencia pokroju Jasia Kapeli, który wyróżnia się wyłącznie prymitywizmem i chamstwem – choć sam uznaje się za poetę.

Ciężko zarabiający na swoje utrzymanie już dawno temu przestali przejmować się mądrzącymi się na ekranach telewizorów czy wyświetlaczach smartfonów gwiazdami, gwizdkami i gwiazdeczkami. Drażni ich raczej ten pouczający ton, wymuszona nonszalancja oraz przekonanie o własnej niepowtarzalności. Im bardziej tym celebryckim artystom wydaje się, że są ulepieni z innej gliny, tym większą budzą niechęć. Wektor pogardy zmienił kierunek, gdyż przyzwoici ludzie nie lubią być traktowani jak motłoch.

O ile jeszcze pewną dozę szacunku zawsze budzi sukces, to jednak przyćmiewa go wieczna potrzeba uwielbienia, uznania i puszenia się. Rozrastające się do niewyobrażalnych rozmiarów ego odbiera artystom kontakt z rzeczywistością. W przekonaniu o swojej wielkości i wyjątkowości zdają się nie stąpać po ziemi, ale płynąć ponad nią uniesieni sztuką, natchnieniem i talentem.

W swoim mniemaniu wyzwalają się z ram i ograniczeń obowiązujących resztę społeczeństwa, gdyż nie obowiązują ich zasady dotyczące zwykłych śmiertelników. Mogą zetem prowadzić życie pełne mocnych wrażeń, kwestionując zasady etyki i moralności. To warunek ich artystycznej swobody. Łamanie barier dobrego smaku, moralności i piękna to katharsis, które ma ich uwolnić i wznieść ponad masy. To oczywiście zwykle śmieszne, głupie i efekciarskie, ale nikt nie może im zabronić brnięcia w ten banał. Jednak nikt nie chce też za to płacić.

Polacy już dawno przekonali się, że ci wyjątkowi, uduchowieni ludzie nie mają zwykle nic ciekawego do powiedzenia. Gdy już oderwali się od mas i w swoich oczach stali się bytami o wyższym poziomie rozwoju, stracili kontakt z bazą. Ich wyobrażenia o świecie tak dalece oderwały się od rzeczywistości, że przestają rozumieć ludzi, dla których powinni tworzyć. Zamykają się w swoim zatęchłym i wyjałowionym światku, który nie ma nic wspólnego z realiami zwykłych ludzi.

Dlatego masy mają w nosie ich opinie, emocje i rozterki. No dostają białej gorączki, gdy mają finansować tych, którzy otwarcie kpią z wartości większości społeczeństwa i na każdym kroku okazują mu pogardę.

CIĘŻKO ZARABIAJĄCY NA SWOJE UTRZYMANIE JUŻ DAWNO TEMU PRZESTALI PRZEJMOWAĆ SIĘ MĄDRZĄCYMI SIĘ NA EKRANACH TELEWIZORÓW CZY WYŚWIETLACZACH SMARTFONÓW GWIAZDAMI, GWIZDKAMI I GWIAZDECZKAMI.

POLACY JUŻ DAWNO PRZEKONALI SIĘ, ŻE CI WYJĄTKOWI, UDUCHOWIENI LUDZIE NIE MAJĄ ZWYKLE NIC CIEKAWEGO DO POWIEDZENIA.

eprasa.pl 57937e552f

Donalda Tuska odpowiedzialność za słowo

Ksiądz Michał Olszewski i jego pełnomocnicy przygotowują pozew przeciw Donaldowi Tuskowi. Jest on odpowiedzią na zarzuty stawiane przez premiera, który zarzuca kapłanowi nieprawidłowości dotyczące finansowania jego obrony. Tusk zarzuca ks. Olszewskiemu, że środki na pomoc prawną pochodzą z giełdy kryptowalut. Duchowny domaga się od premiera zadośćuczynienia w postaci 450 tysięcy złotych. Donald Tusk już nieraz pokazał, że odpowiedzialność za słowo to u niego „towar deficytowy", a szerzone w przestrzeni publicznej kłamstwa tego polityka nie pociągają za sobą niemal **żadnych konsekwencji**, może poza kształtowaniem wizerunku człowieka, który już dawno przestał być wiarygodny.

Leszek Galarowicz

Sprawa księdza Olszewskiego rozpoczęła się 26 marca 2024 roku, kiedy znany kapłan został pokazowo zatrzymany przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ksiądz był związany z Fundacją Profeto, wobec której prokuratura stawia zarzuty nieprawidłowości przy wydatkowaniu środków z Funduszu Sprawiedliwości. Zarzuty dotyczyły licznych nieprawidłowości przy wypłacie środków, które miały nie spełniać wymogów formalnych. Część mediów donosiła, że ksiądz Olszewski był źle traktowany w areszcie, odmawiano mu wody oraz korzystania z toalety. Sąd uznał te doniesienia za nieprawdziwe. Jeden z prawicowych dzienników, który o tym informował, miał opublikować sprostowanie. Sąd kilka razy przedłużał też wobec duchownego areszt tymczasowy. Sercanin został oskarżony o udział w zorganizowanej grupie przestępczej, pranie pieniędzy i nadużycia finansowe. Pytanie, czy prokuratorski zarzut

Fot. Remo Casilli / Reuters / Forum

eprasa.pl 57937e552f

o działanie w zorganizowanej grupie przestępczej ma jakiekolwiek racjonalne podstawy, czy jest tylko zabiegiem do przedłużania aresztu tymczasowego, pozostaje otwarte, choć nie jest tajemnicą, że w Polsce areszt tymczasowy ma charakter patologiczny i często zamiast pełnić rolę środka zapobiegawczego, funkcjonuje jako areszt wydobywczy, który służy przetrzymywaniu oskarżonego i wymuszaniu od niego zeznań. Ksiądz Olszewski został zwolniony z aresztu tymczasowego po pół roku za wysoką kaucją.

Proces rozpoczął się w styczniu. Kapłan nie przyznał się do winy i zrezygnował ze składania wyjaśnień. Ksiądz Olszewski skrytykował też działania prokuratury, której zarzucił pomyłki, np. w nazwie fundacji. Sercanin podkreślił, że od momentu opuszczeniu aresztu jest nękany nie tylko on, ale i jego rodzice. Wyraził też obawę o bezstronność procesu.

Co powiedział Donald Tusk?

– Na przełomie października i listopada 2025 roku, miesiąc przed głosowaniem weta prezydenta ws. regulacji rynku kryptowalut, Przemysław Kral, prezes zarządu Zondacrypto, dokonał wpłat na rzecz dwóch fundacji. 450 tys. zł wpłacono fundacji Instytut Polski Suwerennej Zbigniewa Ziobry. Część z tych środków przeznaczono na prawników i obrońców Dariusza Mateckiego i ks. Michała Olszewskiego – wypalił podczas posiedzenia rządu Donald Tusk, dzieląc się informacjami, które miał podobno dostać od ABW. Na rewelacje premiera od razu zareagował mecenas ks. Olszewskiego Krzysztof A. Wąsowski, który jednoznacznie przyznał, że słowa Tuska są nieprawdziwe. – Moją obronę w sprawie ks. Michała finansuje jego rodzina (także ta zakonna), NIKT INNY... Wiem też, że pozostali

eprasa.pl 57937e552f

obrońcy ks. Michała nie są finansowani przez wskazane w tych insynuacjach podmioty... – dodał. Drugi z jego obrońców mec. Michał Skwarzyński nie jest finansowany przez nikogo, jest bowiem obrońcą pro bono. Co z tą sprawą zamierza zrobić główny zainteresowany? Ksiądz Olszewski jest zdania, że wypowiedzi premiera naruszają jego dobre imię i nie zamierza czekać z założonymi rękami. Duchowny przypomina, że „wciąż toczą się postępowania, a on sam nie został skazany prawomocnym wyrokiem. Zaznacza, że oczekuje poszanowania zasady domniemania niewinności. W jego ocenie wypowiedzi polityczne w tej sprawie mają charakter krzywdzący i mogą być odbierane jako próba nacisku". Radio Maryja informuje, że „prawnicy księdza szykują podwójny pozew. Pierwszy to prywatny akt oskarżenia [z art. 212 Kodeksu karnego] przeciwko premierowi Donaldowi Tuskowi. Drugi to pozew cywilny o naruszenie dóbr osobistych zarówno obrońców, jak i samego księdza". Prawnicy duchownego domagają się zadośćuczynienia w kwocie 450 tysięcy złotych. Pieniądze miałyby trafić do potrzebujących.

KSIĄDZ OLSZEWSKI JEST ZDANIA, ŻE WYPOWIEDZI PREMIERA NARUSZAJĄ JEGO DOBRE IMIĘ I NIE ZAMIERZA CZEKAĆ Z ZAŁOŻONYMI RĘKAMI.

Donald Tusk brzytwy się chwyta

Warto postawić pytanie, dlaczego Donald Tusk próbuje powiązać z aferą kryptowalutową nawet ks. Olszewskiego? Jest oczywiste, że szef KO robi wszystko, aby przekonać opinię publiczną, że afera wokół rynku kryptowalut jest aferą PiS. Sercanin nie jest oczywiście politykiem, ale został uwikłany w sprawę, która ma wydźwięk polityczny. Kiedy w mediach powraca kwestia zarzutów wobec księdza, jednym tchem wymieniani są politycy Zjednoczonej Prawicy: Zbigniew Ziobro, Marcin Romanowski czy Dariusz Matecki. Tuskowi chodzi zatem nie tyle o uderzenie w samego sercanina, ile o obciążenie winą za aferę polityków PiS-u. Tusk musi niczym tonący chwytać się wszelkich sposobów, aby odwrócić uwagę od politycznej odpowiedzialności swojego ugrupowania za skutki kryptowalutowej afery, od której trudno będzie uciec jemu i jego ekipie. Premier oskarża prezydenta Karola Nawrockiego i polityków PiS o obecność na imprezach finansowanych przez Zondacrypto, a tymczasem to właśnie w czasie jego rządów podległe mu instytucje nie zadziałały w taki sposób, aby uchronić dziesiątki tysięcy poszkodowanych rodaków przed podejrzaną firmą. Tusk próbuje szukać winnych naokoło siebie, w tym obwinia prezydenta Karola Nawrockiego za wetowanie ustaw, choć doskonale wiadomo, że ta ustawa nie ochroniłaby klientów Zondacrypto.

TUSK JEST JEDNYM Z ULUBIONYCH „BOHATERÓW INTERNETU", BO JEST WRĘCZ MODELOWYM PRZYKŁADEM CIĄGŁEGO ZMIENIANIA POGLĄDÓW.

Wiarygodny jak Tusk

Problem szefa KO polega na tym, że coraz mniej osób daje wiarę jego słowom. To, że teraz wyciąga z rękawa oskarżenia wobec duchownego, może już wkrótce okazać się nie tyle strzałem z kapiszona, ale uderzeniem we własne kolano. Obecny premier wielokrotnie udowodnił, że odpowiedzialność za słowo to dla niego pusty slogan. Tusk jest zresztą jednym z ulubionych „bohaterów internetu", bo jest wręcz modelowym przykładem ciągłego zmieniania poglądów. Trudno przypuszczać, że celowe wrzucanie fałszywych informacji w przestrzeń publiczną jest zjawiskiem przypadkowym. Wystarczy przypomnieć choćby najbardziej oczywiste przykłady medialnych kłamstw. Jak wtedy, gdy zaprzeczał, że kiedykolwiek zgłaszał agenturalne powiązania prezydenta Donalda Trumpa. Tymczasem na spotkaniu z wyborcami w Bytomiu wprost przyznał, że „zależność Trumpa od rosyj-

eprasa.pl 57937e552f

skich służb nie podlega dyskusji". Inny rażący przykład wprowadzania opinii publicznej w błąd dotyczył słów na temat zapory, kiedy Tusk zapewniał, że ona nigdy nie powstanie, a kiedy już została zbudowana, twierdził, że nigdy nie mówił, że mur nie powstanie. Podobnych przykładów można przywołać zdecydowanie więcej. Zresztą wątpliwa wiarygodność Tuska nie polega tylko na szerzeniu fałszywych informacji, ale też podpieraniu się autorytetami takimi jak patocelebryta Jacek Murański. Trudno będzie szefowi KO uciec od kompromitującej sytuacji z kampanii prezydenckiej, kiedy dowodem na zarzuty wobec Karola Nawrockiego miały być słowa Jacka Murańskiego. Do dziś jest to uznawane za symboliczny moment, kiedy premier pogrzebał szansę na prezydenturę Trzaskowskiego.

Kościelna schizofrenia

W sprawie oskarżeń Tuska nie można pominąć kontekstu ewolucji jego stanowiska wobec Kościoła katolickiego, wiary i religijności. Celnie postawę premiera opisał Jarosław Kaczyński, który już kilkanaście lat temu powiedział: „Donald Tusk ma to do siebie, że jego stosunek do Kościoła się nieustannie zmienia i najwyraźniej ma charakter czysto taktyczny". To, co mówił i robił w ostatnich kilku latach, tylko potwierdza słowa prezesa PiS. Dziś postawa szefa KO wobec Kościoła jest jeszcze bardziej radykalna niż kilkanaście lat wstecz. Jego poglądy coraz bardziej oddalają się też od społecznej nauki Kościoła. Wystarczy prześledzić medialne wystąpienia Tuska w sprawie tzw. małżeństw jednopłciowych, ale też fakt powołania na stanowisko ministra edukacji narodowej skrajnie anyklerykalnej Barbary Nowackiej czy jego poglądy dotyczące aborcji, które są niezgodne z nauką Kościoła. Marzena Nykiel w jednym z artykułów opisała postawę Tuska jako „polityczną schizofrenię". Jednego dnia mówi o poruszeniu, którego doznał na spotkaniu z Papieżem Leonem XIV, twierdzi, że ma „identyczne poglądy z papieżem", a następnie oręduje na rzecz transkrypcji aktów „małżeństw jednopłciowych" z zagranicy czy jawi się jako zwolennik liberalizacji prawa aborcyjnego.

TRUDNO PRZYPUSZCZAĆ, ŻE CELOWE WRZUCANIE FAŁSZYWYCH INFORMACJI W PRZESTRZEŃ PUBLICZNĄ JEST ZJAWISKIEM PRZYPADKOWYM. WYSTARCZY PRZYPOMNIEĆ CHOĆBY NAJBARDZIEJ OCZYWISTE PRZYKŁADY MEDIALNYCH KŁAMSTW.

Dziś w sprawie zarzutów Donalda Tuska wobec ks. Michała Olszewskiego jest więcej pytań niż odpowiedzi. Padły poważne oskarżenia, jakoby sercanin płacił prawnikom Tuska brudnymi pieniędzmi. Duchowny i jego prawnicy zapowiedzieli pozew przeciw niemu. Czy wobec tego, co tak często słyszeliśmy w przestrzeni publicznej, można wierzyć w jego wiarygodność? Raczej nie. Dlaczego zatem szef polskiego rządu uderza w sercanina? Czy atak na duchownego jest tylko częścią szerszej akcji przeciw politykom PiS, którzy byli związani z Funduszem Sprawiedliwości, czy jest to jedna z rozpaczliwych prób ucieczki przed aferą Zondacrypto? Ważne, aby sprawa została jak najszybciej wyjaśniona. Wolność słowa nie może być bowiem wartością nadrzędną wobec odpowiedzialności za nie.

PRAWNICY KS. MICHAŁA OLSZEWSKIEGO DOMAGAJĄ SIĘ ZADOŚĆUCZYNIENIA W KWOCIE 450 TYSIĘCY ZŁOTYCH. PIENIĄDZE MIAŁYBY TRAFIĆ DO POTRZEBUJĄCYCH.

eprasa.pl 57937e552f

Dlaczego płacimy za prąd DWA RAZY DROŻEJ?

Czemu rachunki stały się zawiłe i niezrozumiałe, a pozycja nazywana „ceną energii" stanowi nieraz już mniej niż 1/3 jego całości? Czy ta mętna woda wytworzyła się przypadkiem, czy jednak zmącono ją celowo, aby ktoś mógł w niej łowić (tłuste, grube) ryby?

Szczepan Ruman

Postanowiłem porównać ceny z roku 2015, przed upowszechnieniem OZE, do cen obecnych, z roku 2026. U konkretnego przedsiębiorcy energochłonnego na początku 2026 roku rachunek za energię brutto w przeliczeniu na MWh wyglądał następująco (wszystkie kwoty zaokrąglone do pełnych złotych):

KOSZT BRUTTO ZA 1 MWh ENERGII:	1 306 zł
VAT	244 zł
KOSZT NETTO ZA 1 MWh ENERGII:	1 062 zł
AKCYZA	5 zł
DYSTRYBUCJA	330 zł
DODATKOWE OPŁATY	262 zł
ENERGIA	465 zł
SUMA ENERGIA + DODATKOWE OPŁATY	727 zł

Jeszcze w 2015 roku rachunek energochłonnego przedsiębiorcy za energię kształtował się następująco:

KOSZT BRUTTO ZA 1 MWh ENERGII:	456 zł
VAT	85 zł
KOSZT NETTO ZA 1 MWh ENERGII:	371 zł
AKCYZA	20 zł
DYSTRYBUCJA	175 zł
DODATKOWE OPŁATY	20 zł
ENERGIA (PROFIL BAZOWY)	156 zł
SUMA ENERGIA + DODATKOWE OPŁATY	176 zł

Na tym w zasadzie można by zakończyć, bo przecież liczby mówią same za siebie, ale dodajmy kilka słów komentarza. W roku 2015 energia była w ok. 90% z węgla, a w roku 2026 cała masa „serwisów branżowych" (skąd mają przychody?) pieje z zachwytu nad kolejnymi rekordami udziału energii z OZE. Tylko że koszt energii dla przedsiębiorcy dziś sta-

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 57937e552f

nowi 286% tego co w 2015... Inflacja za ten okres (od końca 2015 do początku 2026 roku) wynosi 47%. Koszty energii wzrosły o 186%, czyli 4 razy szybciej niż inflacja. Dla porządku dodajmy, że ceny węgla ARA (Amsterdam-Rotterdam-Antwerpia), po których surowiec kupowała polska energetyka w latach 2015–2019, wynosiły średnio 75 USD za tonę, a dziś cena węgla wynosi 101 USD za tonę – wzrost o 35%. Podkreślmy: wzrost cen węgla w tym okresie był niższy niż inflacja. Był skok cen węgla po wybuchu wojny na Ukrainie, ale potem węgiel wrócił do niskich cen, a ceny energii w Polsce nie.

Gdyby energetyka w Polsce oparta była dalej na węglu, z dużym prawdopodobieństwem ceny energii od 2015 do 2026 roku wzrosłyby mniej niż inflacja, zamiast rosnąć 4 razy szybciej. Gdyby ceny energii rosły zgodnie z inflacją, to kosztowałaby ona dziś wspomnianego przedsiębiorcę 670 zł/MWh, a kosztuje 1306 zł/MWh, czyli praktycznie dwukrotność ceny, którą dawałby oparty na węglu system energetyczny z 2015 roku. Politycy mogliby po prostu nic nie robić w sprawie energetyki – i mielibyśmy dwukrotnie niższe ceny energii. Zdecydowali się jednak bardzo mocno ingerować w system energetyczny wieloma politycznymi decyzjami przez co ceny mamy dwukrotnie wyższe. To mówią liczby, bardzo mi przykro.

Niniejszy artykuł jest dla mnie bardzo ważny, ponieważ trzeba się z tym wreszcie raz a dobrze rozprawić: wykazać na twardych liczbach czy energia w Polsce mogłaby być tańsza, a jeśli tak, to o ile, oraz kto i z powodu jakich złych decyzji korzysta na drogiej energii, a kto traci. Co ciekawe, postulat niskich cen energii zjednoczyć może strony, które w Radzie Dialogu Społecznego siedzą naprzeciw siebie. Niskie ceny energii to nie tylko niższy koszt na rachunkach gospodarstw domowych, lecz także więcej miejsc pracy oraz więcej pieniędzy

eprasa.pl 57937e552f

w kieszeniach polskich przedsiębiorców, aby mogli oni inwestować w rozwój i czerpać ze swojej działalności godziwe zyski, lecz także aby stać ich było na godziwe wynagradzanie pracy. W zglobalizowanym świecie polski przedsiębiorca często za surowce, materiały i inne pozycje kosztów płaci tyle samo co francuski. Jeśli więc energia kosztuje go trzy razy więcej niż francuskiego konkurenta – pochłania to nie tylko zyski firmy, lecz także środki, które mogłyby być przeznaczone na wynagrodzenia pracowników. Tyle się przecież nasłuchaliśmy o tym, że Niemcy mają wyższe wynagrodzenia, bo są po prostu lepiej zorganizowani i mają wyższą produktywność. A kiedy tani gaz z Rosji się ulotnił, to wraz z nim wyparował mit wysokiej efektywności niemieckiego pracownika – bez preferencyjnych cen energii od Putina niemieckie firmy nie są w stanie utrzymać miejsc pracy w Niemczech. Ceny energii są kluczowe dla rynku pracy. Utrzymywanie wysokich cen energii w Polsce staje się w ten sposób narzędziem do utrzymywania różnic płacowych pomiędzy Polską a bogatszymi państwami UE.

NASI POLITYCY I ICH DORADCY DALEJ PĘDZĄ W POGONI ZA JAKŻE INTRATNYM DLA SWYCH PRZYJACIÓŁ JEDNOROŻCEM OZE, A POLSKA GOSPODARKA WYPADA Z TEGO POCIĄGU NA STACJI „KOSZTY ENERGII”.

Jednocześnie ta nowa energetyka oparta jest na imporcie: importowane panele fotowoltaiczne, importowane turbiny wiatrowe, importowane magazyny energii i importowany gaz do budowanych na importowanym osprzęcie nowych elektrowni gazowych. To wszystko finansowane jest przez globalne instytucje finansowe zapewniające sobie dobry procent w kontraktach gwarantowanych przez budżet państwa, a więc z naszych podatków. W ten sposób powstaje nowa, ogromna, liczona w setkach miliardów euro renta, którą przez kolejnych kilka dekad niektórzy chcieliby czerpać z polskiej gospodarki. Głównym wrogiem takiego projektu są oczywiście polskie elektrownie węglowe działające w oparciu o polski węgiel. Wydaje się więc, że pieniądze przeznaczane przez odpowiednie instytucje na lobbystów mających nas przekonać do dziejowej konieczności odejścia od węgla nie mają żadnych granic.

Francuska Szkoła Wojny Ekonomicznej (École de guerre économique, szkoda, że w Polsce nie mamy takiej instytucji) w 2023 roku opublikowała raport opisujący, jak niemieckie fundacje uderzały we francuski przemysł jądrowy, aby poprzez zniszczenie stabilnej energetyki osłabić pozycję Francji względem Niemiec w UE (opisany w artykule pt. „Tak Niemcy zaatakują Polskę? Francuska Szkoła Wojny Ekonomicznej opublikowała raport” zamieszczonym na portalu Tysol.pl z dnia 02.07.2023 r.). W Polsce stabilna energetyka oparta jest na węglu, a działania przeciwko tej stabilnej i taniej energetyce bardzo przypominają te z Francji. I choć Zielony Ład nie ma chwilowo w Polsce dobrej prasy i niewielu polityków chce być z nim łączonych, to faktycznie ponad 90% wciąż głosuje za kolejnymi ustawami, które ten Zielony Ład dalej „utwardzają”. Taką ustawą jest dla przykładu Ustawa z dnia 9 października 2025 r. o zmianie ustawy o promowaniu wytwarzania energii elektrycznej w morskich farmach wiatrowych, za którą głosowało 418 posłów.

Mimo że nadal głosują za Zielonym Ładem, to większość naszych polityków stara się wytykać palcami innych, że odpowiedzialni są „oni”, nie „my”. Sytuacja pozwala na takie przerzucanie się odpowiedzialnością, bo choć mamy przeświadczenie, że „coś poszło nie tak”, to mało kto potrafi dokładnie nazwać i uzasadnić „co” to było. Biorąc pod uwagę „mętną wodę” naszych rachunków – nic w tym dziwnego. Odpowiedź leży w cenach energii dla polskich rodzin i przedsiębiorstw. Rzetelna analiza cen, którą przeprowadzę w niniejszym artykule, wskazuje, że „społeczne poczucie” odpowiedzialności polskich rządów, szefów Urzędu Regulacji Energetyki, prezesów Polskich Sieci Elektroenergetycznych (PSE) oraz innych państwowych spółek energetycznych z lat 2016–2026 jest całkowicie słuszne, nawet jeśli „społeczeństwo” nie potrafi tego podświadomego przekonania w pełni uzasadnić. Mam nadzieję, że poniższe obliczenia definitywnie rozstrzygną rzekomy spór o to, czy energia z węgla jest tańsza, czy droższa niż z „nowego” systemu opartego na OZE. Swoją drogą ciekawe, że jest jakikolwiek spór, choć wszyscy pamiętamy, jakie były ceny energii jeszcze kilka lat temu, i widzimy, jakie są obecnie.

Pouczająca jest analiza tego, co wzrosło najbardziej, bo w ten sposób można wyklarować to, co w mętnej wodzie naszych rachunków jest niezrozumiałe. Suma kosztu dodatkowych opłat na rachunku wynosi dziś dla przedsiębiorcy 262 zł. W tej kwocie mieszczą się: opłata

eprasa.pl 57937e552f

mocowa (219 zł), opłata jakościowa (33 zł), opłata OZE (7 zł) oraz opłata kogeneracyjna (3 zł). A jak to było w 2015 roku? Przedsiębiorca płacił wówczas dodatkowe opłaty w wysokości 20 zł za 1 MWh: jakościową (11 zł) i przejściową (9 zł). Wzrost dodatkowych opłat na rachunkach za energię przedsiębiorcy za lata 2015–2026 z 20 zł do 262 zł to wzrost o 1210%. Przypomnijmy, że inflacja za okres od końca 2015 roku do początku 2026 roku to 47%. Szanowni politycy, wprowadzane przez was dodatkowe opłaty na rachunkach przedsiębiorców rosły w tempie 26 razy wyższym niż inflacja. Nie 2,6 razy wyższym, ale 26 razy wyższym.

Wzrost dodatkowych opłat na rachunkach o 1210% to prosta konsekwencja wybranego przez polityków modelu rozwoju polskiej energetyki i konkretnych decyzji politycznych z tym związanych. Te opłaty były zatwierdzane przez wybieranych przez polityków prezesów Urzędu Regulacji Energetyki, a częściowo (opłata jakościowa, która wzrosła o 200% z 11 zł do 33 zł) postulowane przez wybieranych przez polityków prezesów PSE. Te opłaty to koszt integrowania tzw. źródeł zeroemisyjnych, czyli pogodozależnych OZE (słońce i wiatr) w systemie energetycznym – decyzjami politycznymi przerzucany na odbiorców energii, w największej mierze na polskich przedsiębiorców rozliczających się w oparciu o taryfy B i C. Przerzucenie kosztów „transformacji" tudzież „Zielonego Ładu" na odbiorców energii zamiast pozostawienia pełnych kosztów bilansowania i przyłącza przy inwestorach w dane źródło energii – to były decyzje polityczne.

Pokażmy to na przykładzie „opłaty mocowej" wynoszącej dziś horrendalne 219 zł/MWh, bo ta jedna opłata jest dziś wyższa niż całościowy koszt energii i dodatkowych opłat w 2015 roku. „Portale branżowe" i „eksperci" prawie klaskają uszami, że w słoneczny czerwcowy dzień OZE zapewniają już ponad 60% zapotrzebowania na energię, co dzieje się wówczas z elektrowniami węglowymi, które w taki sam dzień w 2015 roku zapewniały ponad 80% energii, a dziś zapewniają ledwie ok. 30%, trzy razy mniej? Otóż te elektrownie mają płacone postojowe. Przecież w okresie październik – luty na OZE nie będzie można polegać i system znów opierał się będzie w ponad 80% na elektrowniach węglowych i gazowych. Nie można więc ich zlikwidować. A wszystkich kosztów stałych, w tym kosztów wynagrodzeń załogi – nie da się ponosić przez pół roku, a przez drugie pół nie płacić. W 2015 roku te elektrownie pracowały – i zarabiały – cały rok. Dziś mają w okresie wiosenno-letnim „wpuszczać" do sieci OZE i przymusowo nie pracować. Ale koszty trzeba pokryć. I na to idzie „opłata mocowa". Jest to więc koszt utraconych przychodów elektrowni konwencjonalnych, przychodów, które utraciły one w wyniku decyzji polityków wymuszających, aby stały w miejscu i wpuszczały do sieci OZE. To samo OZE, które nie może nam zapewnić energii zimą. Naturalne byłoby aby koszt utrzymania w lecie elektrowni, które zimą muszą ratować OZE – ponosili „inwestorzy" budujący niestabilne OZE. Ale politycznymi decyzjami płacić mają polscy przedsiębiorcy i gospodarstwa domowe, odbiorcy energii. Dlaczego? Czy płacący za energię przedsiębiorca lub gospodarstwo domowe ponosi jakąś winę za to, że politycy wymuszają postoje elektrowni konwencjonalnych i każą im płacić postojowe, aby wpuścić do sieci OZE? Może niewielką – odpowiedzialność za swój głos w wyborach. W 2015 roku opłaty mocowej nie było wcale, można powiedzieć, że wynosiła 0 zł. Dlaczego? Bo nikomu nie przychodziło do głowy, aby wymuszać postój elektrowni, które mogą dawać tanią energię i same na siebie przy tym zarabiać. Takie pomysły przyszły dopiero wraz z upowszechnieniem OZE. Gdyby nie one, to ta opłata wciąż wynosiłaby 0 zł.

Spójrzmy na opłatę jakościową, z której finansowane mają być liczone w dziesiątkach miliardów plany inwestycyjne ogłaszane przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne. Jak wspomniano, wzrosła ona o 200% z 11 do 33 zł, podczas gdy inflacja wyniosła 47%. Dlaczego rosła 4 razy szybciej niż inflacja? Bo do 2015 roku, kiedy np. Polska Grupa Energetyczna chciała przyłączyć nowy blok węglowy do sieci, to infrastrukturę 40 km przyłącza musiała budować sobie sama, na własny koszt. Natomiast kiedy dziś budowane mają być wiatraki na morzu, to licząca 700 km linia łącząca je z południową Polską, gdzie skoncentrowane jest zapotrzebowanie na energię

ZAMIENILIŚMY SIĘ WSZYSCY W HAZARDZISTÓW: NASZĄ NAJBARDZIEJ FUNDAMENTALNĄ POTRZEBĘ BEZPIECZEŃSTWA – STABILNE DOSTAWY ENERGII ELEKTRYCZNEJ – ZREALIZOWAĆ CHCEMY POPRZEZ SYSTEM OPARTY CAŁKOWICIE NA IMPORCIE, SYSTEM, JAKIEGO NIKT JESZCZE NA ŚWIECIE NIE ZBUDOWAŁ.

eprasa.pl 57937e552f

– budowana ma być na koszt nasz, a nie inwestora w wiatraki. Skąd ta zmiana? Można tylko wskazać, kto na niej korzysta – „inwestor" OZE, który dostaje od społeczeństwa przyłącze za darmo. Podobnie zresztą rzecz się ma z kosztami dystrybucji, które wzrosły o 89% ze 175 zł na 330 zł, czyli rosły prawie dwukrotnie szybciej niż inflacja. Czy to jakieś fatum, że koszty spółek dystrybucyjnych musiały tak rosnąć? Nie. Po prostu w zarządzanych przez Skarb Państwa spółkach dystrybucyjnych, w ich „planach rozwoju sieci", w 2015 roku były tylko potrzebne wydatki na utrzymanie i naturalny rozwój sieci. Nie było tam natomiast szeroko zakrojonej rozbudowy sieci pod źródła OZE, aby oferować im przyłącza za darmo. Dzisiejsze plany przewidują i realizują taką rozbudowę – na koszt odbiorców energii, a nie na koszt „inwestorów" OZE.

Czego się nie dotknie widać więc, że decyzje polityczne kreowały wysokie zwroty z inwestycji dla „inwestorów" OZE, jednak te wysokie zwroty z inwestycji okupione były faktem, że faktyczne koszty integracji tych źródeł przerzucone zostały na polskich przedsiębiorców i gospodarstwa domowe w postaci puchnących bez umiaru dodatkowych opłat na rachunkach. Być może politycy „kupili" sobie w ten sposób przychylność wpływowej branży, zagranicznych funduszy, możnych lobbystów – jednak rachunek płacą polscy odbiorcy energii. Celowo piszę „inwestorów" OZE w cudzysłowie – bo jeśli jakaś branża przerzuca gros kosztów, ryzyko i odpowiedzialność za swoją działalność na społeczeństwo, to jak można mówić o inwestorach?

W poniedziałek, 8 czerwca 2026 roku, rząd przyjął Krajowy Plan w dziedzinie Energii i Klimatu. Dokument przewiduje wydatki na transformację energetyczną na poziomie od 2 do nawet 3,5 biliona złotych. Niejeden „inwestor" OZE potrafi mówić o „darmowej energii" ze słońca lub z wiatru. Skoro ta energia jest taka darmowa, to czemu jedną rękę wyciąga po dopłaty z kieszeni podatnika, drugą po gwarantowane wysokie ceny sprzedaży energii, a całym sobą żąda wybudowanych na koszt społeczeństwa: przyłącza, magazynów energii i elektrowni gazowych do ratowania tego systemu, aby się nie zawalił, gdy przez zaledwie kilka dni „nie świeci i nie wieje"? Bo taki właśnie system przewiduje rządowy plan: system eksperymentalny, którego nigdzie na świecie nie ma. Całkowicie zależny od niestabilnych źródeł słonecznych, wiatrowych i magazynów energii zdolnych utrzymać kraj przez kilka godzin, gdy w styczniu zabraknie wiatru (bo to, że słońca w styczniu zabraknie, to jest pewne). Gdy wyczerpią się magazyny, a bezwietrzny okres będzie trwał dwa tygodnie (co się zdarza), będziemy całkowicie zdani na importowany gaz.

Zamieniliśmy się wszyscy w hazardzistów: naszą najbardziej fundamentalną potrzebę bezpieczeństwa – stabilne dostawy energii elektrycznej – zrealizować chcemy poprzez system oparty całkowicie na imporcie (paneli, turbin, magazynów energii i gazu ziemnego), system, jakiego nikt jeszcze na świecie nie zbudował. Próbowali to zrobić Niemcy, ale niestabilny system okazał się kompletnym fiaskiem po odcięciu od putinowej rury, a sama Ursula von der Leyen ogłosiła, że odejście od stabilnej energetyki jądrowej było (jej własnym) strategicznym błędem. Przecież należy podkreślić, że horrendalne ceny energii mamy już po wydatkowaniu setek miliardów na transformację energetyczną. Jest to jedyna w swoim rodzaju inwestycja: zazwyczaj, jeśli dopłaca się do czegoś na początku, to po to, aby później mieć taniej. Z transformacją energetyczną jest inaczej: najpierw dotacje i subwencje, a potem dwa razy droższa energia... Inwestycja jedyna w swoim rodzaju, chciałoby się powiedzieć, ale ktoś na niej przecież zarabia. Po prostu ktoś inny, nie my, którzy wykładamy pieniądze w swoich rachunkach.

Nasi politycy i ich doradcy dalej pędzą w pogoni za jakże intratnym dla swych przyjaciół jednorożcem OZE, a polska gospodarka wypada z tego pociągu na stacji „koszty energii": 1300 zł/MWh to ponad 300 euro za MWh, to nas zadusi. Czy patrząc na rozwój polskiego systemu energetycznego, można powiedzieć, że politycy działali w interesie swoich wyborców: polskich gospodarstw domowych i przedsiębiorców? Trudo byłoby taką tezę obronić. To stąd bierze się społeczne poczucie, że „coś jest bardzo nie tak", choć mało kto posiada odpowiedni aparat analityczny i ekspertyzę w rynku energii, aby w pełni uzasadnić, na czym polega problem. Odpowiedzialność poszczególnych osób jest oczywiście różna: jedni zupełnie nie mieli na to wpływu, podczas gdy inni – często chcący dziś dalej doradzać i współdecydować, jak powinna rozwijać się Polska – aktywnie lobbowali za „zielonym" kierunkiem, podejmowali konkretne decyzje. Przeanalizować, kto należy do której grupy, naprawdę nie jest trudno.

RZĄD PRZYJĄŁ KRAJOWY PLAN W DZIEDZINIE ENERGII I KLIMATU. DOKUMENT PRZEWIDUJE WYDATKI NA TRANSFORMACJĘ ENERGETYCZNĄ NA POZIOMIE OD 2 DO NAWET 3,5 BILIONA ZŁOTYCH.

eprasa.pl 57937e552f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Kostek-Biernacki i KL Bereza?

17 czerwca 1934 r. ukazał się dekret prezydenta RP Ignacego Mościckiego o utworzeniu obozu izolacyjnego w Berezie Kartuskiej. 14 kwietnia 1953 r. komunistyczny Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał piłsudczyka płk. Wacława Kostka-Biernackiego, podczas tajnej rozprawy, na karę śmierci „za tłumienie ruchu rewolucyjnego, faszyzowanie kraju, szkalowanie i zohydzanie Związku Radzieckiego". Propaganda bolszewicka uczyniła z Kostka-Biernackiego krwawego komendanta twierdzy brzeskiej, a przede wszystkim oprawcę z Berezy Kartuskiej. Te mity funkcjonują nadal, szczególnie Bereza „wzorowana na hitlerowskich obozach koncentracyjnych". To wynik trwającego do dziś homo sovieticus. Komunistom udało się wielu wmówić, że ich więzienia były tylko igraszką wobec obozów „faszystowskich": niemieckich i przedwojennych polskich – prowadzonych przez „piłsudczykowski totalitaryzm".

Przywołujemy jednak słowa rtm. Witolda Pileckiego, że to niemiecki obóz Auschwitz był igraszką wobec komunistycznej katowni przy ul. Rakowieckiej. Niewykluczone, że Pilecki spotkał tam Kostka-Biernackiego, męczonego na Mokotowie aż dziewięć lat.

W aktach komunistycznego śledztwa czytamy o Biernackim: „Współorganizator i faktyczny przełożony obozu w Berezie Kartuskiej opracował osobiście jego regulamin, nadzorował go i wpływał bezpośrednio na służbę obozu w kierunku jeszcze większego zaostrzenia reżimu obozowego. Oskarżony w czasie swoich inspekcji niejednokrotnie sam brał udział w znęcaniu się nad więźniami".

To kłamstwa: podległość Berezy Biernackiemu była jedynie tytularna – znajdowała się na terenie administrowanego przez niego województwa poleskiego. Nie on był inicjatorem umieszczenia tu przeciwników politycznych, nie on napisał regulamin obozu. Pomysłodawcą Berezy był ówczesny premier Leon Kozłowski. Piłsudski poparł inicjatywę. Według zapisu Wacława Jędrzejewicza Marszałek miał powiedzieć: „Ja nic nie mam przeciw tej waszej czerezwyczajce, ja się na tę waszą czerezwyczajkę na rok zgodziłem".

Zamknięci w Berezie – głównie komuniści, Ukraińcy i przedstawiciele innych mniejszości narodowych – twierdzili, że wizyty Kostka powodowały zaostrzenie rygoru obozowego. Inspekcje wojewody to akurat prawda, ale w rzeczywistości w ich trakcie ograniczał się do sprawdzania, czy przestrzegany jest regulamin, czy panuje porządek w celach, kuchniach i sanitariatach. Kilka razy faktycznie opiniował wnioski o skierowanie do obozu, ale decydować nie mógł, gdyż Bereza Kartuska podlegała bezpośrednio szefowi MSW Marianowi Zyndram-Kościałkowskiemu.

Kiedy po wojnie komuniści przejęli nielegalnie władzę w Polsce i dodatkowo uwięzili Kostka – na nim chcieli skupić całą swoją nienawiść do piłsudczyków i winę za Berezę. Do pokazowego procesu, w którym „demokratyczna" władza miała pokazać zbrodniczość przedwojennej sanacji, jednak nie doszło. Akt oskarżenia upadł właśnie ze względu na Berezę – komunie nie udało się znaleźć dowodów i świadków rzekomych przestępstw Kostka. Ostatecznie karę śmierci zamienili Biernackiemu na 10 lat więzienia. Zmarł, wykończony ubeckim śledztwem, wkrótce po wyjściu z Rakowieckiej, 25 maja 1957 r.

eprasa.pl 57937e552f

Atomowy Bełchatów

Marcin Krzeszowiec

Bełchatowskie zasoby węgla brunatnego powoli się **wyczerpują**, a w miejscu, gdzie wydobywane jest czarne złoto, ma powstać największe w Polsce sztuczne jezioro. Koniec wydobycia pociągnie za sobą także likwidację elektrowni, dlatego mieszkańcy liczą na płynne przejście od węgla do atomu. I mają na to ogromne szanse.

Kopalnia Węgla Brunatnego „Bełchatów" to największa kopalnia odkrywkowa w Polsce i jedna z największych w Europie. Czarne złoto jest tam wydobywane w dwóch polach: Polu „Szczerców" i Polu „Bełchatów", a następnie wykorzystywane jako paliwo dla pobliskiej Elektrowni Bełchatów.

Już w tym roku węgiel z odkrywki „Bełchatów" ma wyjechać na powierzchnie po raz

eprasa.pl 57937e552f

Elektrownia Bełchatów

Fot. Wikimedia Commons

ostatni. Z kolei na drugiej odkrywce w Polu „Szczerców" wydobycie ma potrwać do 2036 roku. Tam, gdzie dziś fedrują górnicy, w przyszłości mają pojawić się plażowicze.

Rekultywacja

Na terenach po obu odkrywkach planowane jest utworzenie dwóch sztucznych jezior, które w końcowej fazie napełniania wodą zostaną połączone w jeden zbiornik. Bełchatowskie jezioro ma być głębokie na około 170 metrów i stać się najgłębszym zbiornikiem wodnym w Polsce, głębszym o mniej więcej 60 metrów od dotychczasowego lidera rankingu – Hańczy (gł. 108,5 m). Będzie to także największe jezioro w Polsce – powierzchnia lustra wody ma wynieść około 4 tys. hektarów.

Bełchatowskie jezioro pomyślane jest jako miejsce rekreacji i wypoczynku: ogromna plaża, przystań jachtowa, a dla szukających wrażeń nurków rozważana jest koncepcja zatopienia na dnie koparki. Prace nad zbiornikiem toczą

eprasa.pl 57937e552f

się już od kilku lat. Aby wszystko zagrało, konieczne jest uformowanie linii brzegowej, skarp, dna jeziora i terenu pod plaże. Po wygaszeniu wydobycia nastąpi ograniczenie odwodnienia kopalni, a wyrobiska zaczną się naturalnie wypełniać wodami głębinowymi. Skierowane zostaną tam również wody powierzchniowe. Jeśli będzie taka potrzeba, do leja depresyjnego można „dolać" wody z rzek Warta i Widawka lub innych ujęć. Cały proces zalewania Kopalni „Bełchatów" ma potrwać 17–19 lat, a pełne wypełnienie odkrywek nastąpi po 2050 roku. Być może pierwsi turyści wybiorą się na „Bełchatowskie Mazury" około 2060 roku.

Warto dodać, że hydrorekultywacja w Bełchatowie to tak naprawdę żadna nowość. Mieszkańcy Tarnobrzegu od 2010 roku korzystają ze sztucznie utworzonego Jeziora Tarnobrzeskiego, które powstało na terenie byłej kopalni odkrywkowej siarki. Akwen został zasilony wodą z Wisły i dziś doskonale nadaje się do sportów wodnych: można w nim nurkować na głębokość nawet 42 metrów albo zupełnie odwrotnie – „przelecieć" nad jeziorem najdłuższą w Polsce tyrolką. Dawną kopalnię węgla brunatnego przekształcono w zbiornik wodny także w Russocicach w woj. wielkopolskim.

Zalewanie terenu to oczywiście nie jedyna metoda rekultywacyjna. Na terenach bełchatowskiego kompleksu energetycznego zasadzono także miliony drzew, a pokaźną powierzchnię zalesionych gruntów przekazano Lasom Państwowym.

Ponadto ze zwałowiska utworzono Górę Kamieńsk – najwyższe wzniesienie w środkowej Polsce o wysokości 407 metrów n.p.m., które w zimę służy jako stok narciarski, a w sezonie letnim można tam skorzystać z 620-metrowego grawitacyjnego toru saneczkowego, zjechać specjalnym pontonem z toru tubingowego, wjechać na szczyt krzesełkową koleją linową czy po prostu pojeździć rowerem. Na Górze Kamieńsk zbudowano też składającą się z 15 turbin farmę wiatrową.

Co z ludźmi?

Sama turystyka nie zrekompensuje jednak w pełni strat, jakie poniesie lokalna gospodarka.

Tym bardziej że poza kopalnią działa tu także Elektrownia Bełchatów, która dostarcza zarówno prąd, jak i ciepło w postaci gorącej wody dla okolicznych odbiorców, w tym dla liczącego blisko 60 tys. mieszkańców Bełchatowa, oraz parę technologiczną, z której korzystają pobliskie zakłady przemysłowe.

Likwidacja bełchatowskiej elektrowni ma następować etapami. Siedem lat temu wygaszono tu pierwszy blok węglowy, a w kolejce stoi kolejnych 12. Bloki będą stopniowo zamykane od 2030 roku przez kolejnych 5–8 lat. Spowoduje to ubytek ok. 5,5 GW mocy w polskim systemie elektroenergetycznym i utratę wielu miejsc pracy. Spójrzmy na liczby.

W kopalni pracuje dziś 3700 osób, a w elektrowni kolejne 2500. Co więcej, w spółkach grupy PGE w Bełchatowie zatrudnionych jest ponad 3600 osób. Łącznie to niemal 10 tysięcy pracowników.

PIERWSZA ELEKTROWNIA ATOMOWA POWSTANIE NA POMORZU. O DRUGĄ BEŁCHATÓW RYWALIZUJE Z KONINEM.

Gdy kompleks zakończy wydobywać i spalać węgiel, tj. za 10 lat, niespełna 40 procent pracowników kopalni i elektrowni zyska uprawnienia emerytalne. Pytanie brzmi, co stanie się z pozostałymi. Część na pewno znajdzie zatrudnienie przy rekultywacji terenu, likwidacji majątku poeksploatacyjnego albo skorzysta z urlopów energetycznych oraz górniczych.

Już teraz 330 pracowników kopalni i elektrowni postanowiło odejść z PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna w ramach Programu Dobrowolnych Odejść, który potrwa do końca 2027 roku.

Szansą na utrzymanie miejsc pracy mogą być nowe projekty energetyczne. Na stole leżą różne opcje: od budowy elektrowni szczytowo-pompowych, siłowni wiatrowych, farm fotowoltaicznych, magazynów energii, przez elektrownie gazowo-parowe, po reaktory modułowe SMR, czyli małe elektrownie jądrowe.

Najwięcej emocji budzi jednak koncepcja budowy wielkoskalowej elektrowni jądrowej.

Pierwsza, jak wiadomo, powstanie na Pomorzu, w Lubiatowie-Kopalinie, w gminie Choczewo. Lokalizacja drugiej elektrowni nie jest jeszcze przesądzona, dlatego Bełchatów z całych sił lobbuje, aby węgiel brunatny zamienić na atom.

„Tak dla atomu w Bełchatowie"

O drugą elektrownię jądrową Bełchatów rywalizuje z Koninem. Nim zapadnie decyzja o wyborze lokalizacji, muszą zostać przeprowadzone odpowiednie badania.

Trzeba wykonać analizy hydrologiczne, ponieważ potrzebne są woda do chłodzenia reaktorów czy badania sejsmiczne, bo – zgodnie z rządowym rozporządzeniem – elektrownia jądrowa może zostać zbudowana na terenie,

eprasa.pl 57937e552f

na którym w czasie ostatnich 10 tysięcy lat nie wystąpiło trzęsienie ziemi o magnitudzie ok. 7 w skali Richtera.

Prezes PGE GiEK Jacek Kaczorowski powiedział w zeszłym roku, że stacja sejsmologiczna w Bełchatowie odnotowała ponad 1300 zjawisk sejsmologicznych o lokalnych magnitudach na poziomie od 1 do 4,6 w skali Richtera, a „w ostatnich latach obserwowana jest ich niewielka aktywność prowadząca do całkowitego zaniku".

Za Bełchatowem przemawia także jedna z największych w kraju sieci przesyłowych i wyprowadzania mocy na poziomie 5,5 GW.

Ponadto budowa elektrowni jądrowej w Bełchatowie cieszy się szerokim poparciem społecznym. Inwestycje popierają zarówno mieszkańcy, samorządy, politycy różnych opcji politycznych, związkowcy, jak i przedsiębiorcy.

Dowodem na to jest choćby deklaracja „Tak dla atomu w Bełchatowie" podpisana na początku tego roku na nadzwyczajnej sesji Sejmiku Województwa Łódzkiego w Bełchatowie. Podkreślono w niej, że Bełchatów od dziesięcioleci jest „sercem polskiej energetyki", posiada wykwalifikowaną kadrę inżynierów, techników oraz gotową infrastrukturę przesyłową.

załogę, doświadczenie przemysłowe, pełną infrastrukturę wyprowadzenia mocy, wymagane zasoby hydrologiczne i odpowiednie warunki geologiczne, a położenie w centralnej części Polski „istotnie wpływa na stabilność całego systemu energetycznego, jak również ma niebagatelne znaczenie dla aspektów wojskowych związanych z ochroną infrastruktury krytycznej".

Przypomnieli też premierowi słowa, które wypowiedział na spotkaniu z mieszkańcami Piotrkowa Trybunalskiego w październiku 2025 roku. Donald Tusk oznajmił wtedy, że „jeśli zapadnie decyzja o drugiej lokalizacji elektrowni jądrowej, to Bełchatów jest na pierwszym miejscu tej listy".

„To zdanie zostało przez naszych Pracowników przyjęte jako sygnał nadziei – która dziś wymaga potwierdzenia w postaci konkretnej decyzji. Dlatego też apelujemy o jednoznaczne rozstrzygnięcie i potwierdzenie, że druga polska elektrownia atomowa powstanie właśnie w Bełchatowie" – zaapelowali związkowcy.

„Ta decyzja określi przyszłość naszego regionu na najbliższe kilkadziesiąt lat i udowodni, że sprawiedliwa transformacja energetyczna to nie pusty slogan, ale konkretne zobowiązanie pozwalające na wykorzystanie potencjału ludzi i miejsca, które od prawie pół wieku jest sercem polskiej energetyki" – podkreślili.

„APELUJEMY O JEDNOZNACZNE ROZSTRZYGNIĘCIE I POTWIERDZENIE, ŻE DRUGA POLSKA ELEKTROWNIA ATOMOWA POWSTANIE WŁAŚNIE W BEŁCHATOWIE" – ORGANIZACJE ZWIĄZKOWE Z PGE GiEK W LIŚCIE DO PREMIERA DONALDA TUSKA.

Sygnatariusze zaapelowali w niej do ministra energii oraz do Rady Ministrów o podjęcie szybkiej i ostatecznej decyzji o wyborze Bełchatowa w projekcie jądrowym. „Jesteśmy gotowi aktywnie współpracować przy realizacji tej inwestycji, która jest historyczną szansą dla naszej małej ojczyzny" – zadeklarowali.

Kolejnym wyrazem poparcia dla atomu w Bełchatowie jest list do premiera Donalda Tuska, który wystosowali w marcu przedstawiciele wszystkich 30 organizacji związkowych działających w strukturach PGE GiEK.

Związkowcy podkreślili, że Bełchatów to idealne miejsce do budowy takiej elektrowni – posiadające wykwalifikowaną

Kto zbuduje drugą elektrownię jądrową?

Pierwsze reaktory atomowe powstaną, jak wiadomo, na Pomorzu dzięki współpracy spółki Skarbu Państwa Polskie Elektrownie Jądrowe z konsorcjum amerykańskich firm Westinghouse i Bechtel. To samo amerykańskie przedsiębiorstwo – Westinghouse – uczestniczy także w tzw. dialogu konkurencyjnym na budowę drugiej polskiej elektrowni jądrowej. W grze o polski atom jest jeszcze kanadyjski AtkinsRéalis oraz francuski EDF.

Kanadyjczycy oferują nam reaktory CANDU wykorzystujące jako paliwo naturalny uran, który – jak twierdzą – jest szeroko dostępny w Europie. Ich reaktory są również w stanie w tym samym czasie produkować prąd oraz radioizotopy wykorzystywane w przemyśle czy medycynie.

Z kolei prezydent Emmanuel Macron przekonywał podczas swojej kwietniowej wizyty w Gdańsku, że francuski „EDF należy w 100 proc. do państwa, więc jest to partner godny zaufania".

Niezależnie od tego, kto zostanie partnerem technologicznym, rząd musi wskazać lokalizacje. O tym, czy będzie to Konin, czy Bełchatów, dowiemy się w tym bądź w przyszłym roku.

eprasa.pl 57937e552f

Land UKRAINA

Ukraina w pierwszych tygodniach wojny nie schodziła z ust i klawiatur Polaków. Gniew na rosyjskich agresorów, szacunek dla walczących i współczucie dla ofiar były emocjami dominującymi nie tylko w przekazie medialnym, lecz także w oddolnym internetowym dyskursie. Później nastroje zaczęły się zmieniać, na co przełożyło się wiele szczegółów w naszej wzajemnej relacji. Przełom czerwca i maja przyniósł najpoważniejszy chyba kryzys na linii Warszawa – Kijów. Aby zrozumieć, co się stało, trzeba przyjrzeć się uważnie, **w jakim kierunku idzie dzisiejsza Ukraina**, a przede wszystkim, gdzie jest i dokąd zmierza prezydent Wołodymyr Zełenski.

Krzysztof Karnkowski

Spotkanie na Downing Street 10, od lewej: kanclerz Niemiec Friedrich Merz, prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer i prezydent Francji Emmanuel Macron, Londyn, 7 czerwca br.

Fot. Lucy North / PA Images / Forum

eprasa.pl 57937e552f

Nie chcę poświęcać tego tekstu na tworzenie kroniki kolejnych nieporozumień. Warto jednak przypomnieć sobie kilka momentów, które kładły się cieniem na pozornie znakomitej, wręcz braterskiej relacji, która rozbudziła w niektórych nadzieję na bliższe partnerstwo, przyszłą współpracę w ramach UE i stworzenie mocnej alternatywy wobec niemieckiej dominacji w Europie.

JUŻ DRUGI ROK WOJNY POKAZAŁ, ŻE WARSZAWSKIE RACHUBY BYŁY MOCNO NA WYROST.

Jeszcze przed pełnowymiarową agresją ze strony Rosji Ukraińcy blokowali część kolejowego tranzytu do Polski, a podobne informacje powtarzały się również w kolejnych latach, co dla wielu osób było sporym zaskoczeniem. Poza tym jednym aspektem nasze relacje wydawały się przecież bez zarzutu, a Polska ofiarowała sąsiadom bezprzykładne wsparcie, przekazując im swoje zasoby militarne, a zarazem przyjmując w gościnę setki uchodźców wojennych, którzy otrzymywali daleko idące wsparcie od państwa. Jednak już drugi rok wojny pokazał, że warszawskie rachuby były mocno na wyrost. Ukraina dosłownie zalała nasz rynek zbożem i innymi produktami rolnymi, uzyskując zielone światło od Unii Europejskiej. Ten żywnościowy blitzkrieg porównać można do umowy z Mercosur. Polscy rolnicy zderzyli się z falą dostaw zbóż i plonów rolnych wyhodowanych tańszym kosztem i poza unijną biurokracją. Elity próbowały tłumić wszelką krytykę, odwołując się do prostego moralnego szantażu – miało przecież chodzić o wspieranie walczącej Ukrainy. Faktu, że tamtejsza produkcja rolna skupiona była już wówczas w rękach kilku latyfundystów, z których prawie żaden nie był Ukraińcem, media przesadnie nie eksponowały. Zyskiwali więc nie ukraińscy chłopi, a biznesmeni z krajów Europy Zachodniej, przede wszystkim z Niemiec, rzadziej – z USA. Polscy rolnicy tracili tymczasem pieniądze i zaufanie do władz, które były w stanie w pełni poradzić sobie z tym problemem. Co jednak istotne, kryzys zbiegł się ze zmianą w relacjach Ukrainy i Niemiec.

Ambasador służbista

Początkowo w trójkącie Kijów – Warszawa – Berlin to Niemcom przypadła rola czarnego charakteru. To przecież oni nie wysyłali żadnej znaczącej pomocy, równocześnie przypisując sobie największe zasługi. To oni mówili ambasadorowi Ukrainy, że jego państwo podda się w ciągu trzech dni. I to dopiero mocne wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego w Berlinie wpłynęło na pewną poprawę sytuacji. Niestety, Niemcy na Ukrainie zagrali tak, jak wcześniej w Polsce, w pewnym stopniu kupując sobie życzliwość elit. Ważne jest i to, że Ukraińcy wciąż bardzo mocno idealizują Unię Europejską, do której klucz w ich odczuciu trzymają nasi zachodni sąsiedzi. Jak mówił mi w 2024 roku dziennikarz Jakub Maciejewski, Ukraińcy wierzą, że „po wejściu kraju do Unii przychodzą nowi urzędnicy z walizkami pieniędzy". Elita władzy potrzebuje jakiegokolwiek sukcesu, a Niemcy sukces ten obiecują, tworząc wrażenie, że Ukraina jest już jedną nogą w Unii. Jak mówił Maciejewski, Berlin obietnicą wprowadzenia naszego wschodniego sąsiada do UE rozbił bank. Jednak w tym samym nie byłoby jeszcze dla nas niczego złego, gdyby nie pewna koincydencja, którą zauważył mój rozmówca. Maciejewski zauważył bowiem, że gdy w lipcu 2023 roku ambasadorem Niemiec na Ukrainie został mocno związany ze służbami Martin Jäger, kolejne wrogie wobec Polski wypowiedzi ukraińskich polityków następowały zaraz po ich spotkaniach z dyplomatą. O tym, że Jäger jest facetem do konkretnej roboty, świadczy fakt, że z Ukrainy trafił na stanowisko szefa BND, czyli

UKRAIŃCY WCIĄŻ BARDZO IDEALIZUJĄ UNIĘ EUROPEJSKĄ, DO KTÓREJ KLUCZ W ICH ODCZUCIU TRZYMAJĄ NASI ZACHODNI SĄSIEDZI.

eprasa.pl 57937e552f

Federalnej Służby Wywiadu. Tymczasem kryzys zbożowy bardzo źle wpłynął na zaufanie rolników, stanowiących stały elektorat PiS, na zaufanie tej grupy do władzy i przyczynił się do utraty części głosów w wyborach 2023 roku.

Polska zapłaci

Latem 2024 roku pojawiły się nowe koncepcje dotyczące przyszłości Ukrainy – a może raczej kilka wcześniej niedopowiedzianych spraw zaczęło wyglądać dużo jaśniej, o czym pisaliśmy już na łamach „TS". W wielkim skrócie z okruchów deklaracji polityków unijnych, ukraińskich, niemieckich i polskich wyłaniał się następujący obraz. Ukraina po zakończeniu wojny miałaby uzyskać specjalny dostęp do rynku UE. Międzynarodowy, głównie przeżywający kryzys kapitał niemiecki, miałby tam lokować swoją produkcję, korzystając z braku unijnych obostrzeń w najbliższym geograficznie sąsiedztwie Unii. Polska w tym układzie padłaby ofiarą nieuczciwej konkurencji, co więcej sama przyczyniłaby się do pogorszenia własnej sytuacji. Jak bowiem ogłaszał wówczas Paweł Kowal, nasz kraj, sam poddany wszystkim rygorom ETS i cierpiący z powodu wysokich cen energii, miałby eksportować na Ukrainę tani i zwolniony z unijnego haraczu prąd. W tym samym czasie na polski rynek kolejowy zaczął wchodzić ukraiński przewoźnik Ukrainian Railways Cargo Poland mający obsługiwać tranzyt towarów między Ukraina a Europą Zachodnią. Późniejsze unijne działania, w tym zapowiadane umowy o handlu artykułami rolnymi, zaczynają potwierdzać te formułowane dwa lata temu między innymi przez Rafała Ziemkiewicza obawy. Kolejne niepokojące dane na temat złej sytuacji gospodarki Niemiec (ostatnio potwierdzone choćby pozornie pozytywną informacją, że po raz pierwszy od wielu lat nasz sąsiad rok do roku wygenerował mniej odpadów) każą obawiać się, że Berlin jak zwykle będzie próbował przerzucać koszty swego kryzysu na inne państwa, drenując zasoby i siłę roboczą Ukrainy i osłabiając gospodarkę Polski. Trzeba tu dość brutalnie zauważyć, że model rozwojowy RFN jest gospodarczym odpowiednikiem rosyjskiego imperializmu. Dawne Niemcy Zachodnie po 1989 roku wydrenowały dawne NRD – mało zdajemy sobie w Polsce sprawę z tego, że zjednoczenie Niemiec w wielu aspektach było tak naprawdę wrogim przejęciem komunistycznych landów. Później nasz żarłoczny sąsiad wzbogacił się na rozszerzeniu Unii na wschód i poszerzeniu strefy euro, a także na kryzysie w Grecji. Dziś zerka na Ukrainę i z opisanych powyżej przyczyn spotyka się to z ciepłą reakcją tamtejszych polityków.

> NASZ KRAJ, PODDANY ETS I CIERPIĄCY Z POWODU WYSOKICH CEN ENERGII, MIAŁBY EKSPORTOWAĆ NA UKRAINĘ ZWOLNIONY Z UNIJNEGO HARACZU PRĄD.

Szukając ratunku

Prezydentura Wołodymyra Zełenskiego formalnie powinna dobiec końca już dwa lata temu. Ponieważ jednak przeprowadzenie wyborów na terenie całego kraju jest wciąż niemożliwe, Zełenski przedłuża swoją kadencję. W połączeniu z kolejnymi skandalami korupcyjnymi w najbliższym otoczeniu prezydenta powoduje to narastające zniecierpliwienie jego rodaków. Jak mówi często jeżdżący na Ukrainę z pomocą humanitarną Adam Zawadzki, ludzie, z którymi rozmawia we wciąż niepokojonych przez Rosjan miejscowościach, Zełenskim znużeni są tak samo jak wojną. Afery dotyczą spraw wrażliwych, takich jak energetyka czy zakupy broni dla armii. Latem 2025 r. NABU ujawniło dużą aferę dotyczącą zakupów dronów i sprzętu walki elektronicznej dla wojska. Wśród podejrzanych znaleźli się m.in. deputowany do parlamentu, były gubernator obwodu ługańskiego, dowódcy wojskowi i przedstawiciele firm zbrojeniowych. Śledczy twierdzą, że kontrakty były zawierane po zawyżonych cenach, a prowizje miały sięgać nawet 30% wartości umów. Jeszcze większe polityczne reperkusje wywołała sprawa dotycząca państwowego koncernu energetycznego Energoatom. Według NABU grupa powiązana z wysokimi urzędnikami miała wymuszać łapówki od wykonawców realizujących kontrakty dla spółki. Mechanizm polegał na pobieraniu swoistego „myta" za wypłatę należnych pieniędzy z kontraktów. W maju 2026 r. NABU poinformowało o działaniach wobec byłego szefa kancelarii prezydenta, Andrija Jermaka. Śledczy badają wątek prania pieniędzy poprzez

eprasa.pl 57937e552f

luksusowe inwestycje mieszkaniowe pod Kijowem. Według mediów część nieruchomości miała być powiązana z ludźmi z otoczenia najwyższych władz państwowych. Jermak, przez lata uważany za osobę numer dwa po prezydencie, odrzuca oskarżenia, jednak jego problemy są wizerunkowo w dużym stopniu problemami samego Zełenskiego. Choć on sam nie usłyszał żadnych zarzutów, kolejne doniesienia uderzają w wizerunek polityka, który obejmował władzę pod hasłami walki z korupcją i zerwania z ukraińską oligarchią. Dla części opinii publicznej szczególnie niebezpieczne jest nie tyle samo istnienie śledztw, ile fakt, że ich bohaterami stają się osoby od lat kojarzone z najbliższym kręgiem prezydenta. W efekcie narasta przekonanie, że wojna nie wyeliminowała patologii ukraińskiego systemu politycznego, a jedynie przesunęła je w nowe obszary związane z zamówieniami publicznymi, sektorem energetycznym i dystrybucją zagranicznej pomocy. Wszystko to sprawia, że ukraiński przywódca szuka dla siebie zarówno nowych narracji na użytek krajowy, jak i ewentualnych dróg dla przyszłej kariery międzynarodowej. Efektem poszukiwania nowej opowieści staje się coraz śmielsze podpinanie się pod zafałszowaną pamięć historyczną o liderach banderyzmu, choćby kosztem wizerunku państwa za granicą. Jednak nadanie dywizji imienia Bohaterów UPA, które tak poruszyło naszą opinię publiczną, jest tylko jednym z szeregu podobnych wydarzeń i upamiętnień. W marcu w obwodzie lwowskim zorganizowano oficjalne uroczystości z okazji 76. rocznicy śmierci Romana Szuchewycza, głównodowodzącego UPA, trwa też odbudowa poświęconego mu muzeum, uszkodzonego wcześniej w ataku dronowym. Jak mówi Zawadzki, prezydentowi dziś pali się grunt pod nogami. Czy wliczył w koszt ratowania swego wizerunku tak ostrą reakcję polskiej opinii publicznej i prezydenta Karola Nawrockiego? Być może uznał po prostu, że ma ważniejsze sprawy na głowie, choć trudno teraz powiedzieć, czy wywołanie sporu z Polską przysporzy mu popularności poza środowiskami nacjonalistycznymi i czy te ostatnie dadzą się nabrać na ten narodowy zwrot prounijnego liberała.

Śladami Tuska

Historia zna wiele przypadków, gdy wczorajszy bohater stawał się dla tłumu wrogiem numer jeden. O ile oddawanie gospodarki pod zewnętrzne władanie może pozostać jeszcze jakiś czas niezauważone, zwłaszcza jeśli nie przełoży się na pogorszenie jakości życia, o tyle afery korupcyjne są problemem, który może doprowadzić do utraty władzy. Zwłaszcza że badania opinii pokazują, że Zełenski ma groźnego rywala w postaci byłego szefa armii, dziś ambasadora w Wielkiej Brytanii Wałerija Załużnego, który nie kojarzy się ludziom z aferami i cieszy się wyraźnie większym zaufaniem. Inni konkurenci, tacy jak Witalij Kliczko czy Petro Poroszenko w starciu z obecnym liderem nie mają szans, jeśli jednak ambasador wkroczy do gry, wszystko może się zmienić. W nowej sytuacji Wołodymyr Zełenski może potrzebować nowej pracy, a być może również immunitetu. Czy z pomocą – jak Donaldowi Tuskowi – przyjdą mu wtedy Niemcy w zamian za uczynienie z Ukrainy czegoś na kształt nowych Prus Wschodnich? Jest to całkiem możliwe. Friedrich Merz proponuje, by przed pełną akcesją Ukraina uzyskała przy UE nieznany traktatom status państwa stowarzyszonego. Według niektórych opinii elementem takiego rozwiązania mogłoby być przyznanie temu państwu miejsc w europarlamencie, a być może również stanowiska unijnego komisarza. Czy można wyobrazić sobie lepszą polityczną emeryturę, zwłaszcza w połączeniu ze statusem idola, celebryty, bojownika i bohatera?

Po kilku latach romantyzowania Ukrainy przez dużą część polskiej opinii publicznej sam jej prezydent przychodzi do nas z kubłem zimnej wody. Elity Ukrainy skupione wokół Zełenskiego tkwią w korupcyjnej, postsowieckiej mentalności, dla której ideową przykrywką ma być prounijny liberalizm, wymieszany na użytek krajowy z nacjonalizmem. Niestety, wrogim również wobec Polski. Z tym ostatnim bagażem Ukraińcom może być trudno wkroczyć do Europy. Na razie widać już, że na tej drodze zamierzają ominąć Polskę.

W MAJU 2026 R. NABU POINFORMOWAŁO O DZIAŁANIACH WOBEC BYŁEGO SZEFA KANCELARII PREZYDENTA ANDRIJA JERMAKA.

eprasa.pl 57937e552f

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Nauczycielka życia czy instrument władzy

Zdzisław Krasnodębski

Historia nie jest – chyba – nauczycielką życia. Jest natomiast z całą pewnością jednym z najważniejszych instrumentów współczesnej polityki. Polityka pamięci to dziś jeden z centralnych aspektów walki o wpływy i władzę. Politycy w każdym kraju nieustannie coś celebrują, czczą, odznaczają, przypominają, potępiają, a narzucenie swojej interpretacji przeszłości ma niemal takie samo znaczenie polityczne, jak narzucenie swojej interpretacji prawa unijnego. To rdzeń „soft power", która choć „miękka" może być bardzo bolesna i bardzo zniewalająca.

Nie jest rzeczą przypadku, że jedną z pierwszych instytucji finansowanych z „Zachodu", które powstały w Polsce, był Niemiecki Instytut Historyczny. Miał on nie tylko kształcić niemieckich specjalistów od polskiej historii, ale i nauczyć polskich historyków – i Polaków w ogóle – właściwego stosunku do swojej oraz niemieckiej i europejskiej przeszłości.

Trudno się dziwić, że naród o takiej przeszłości jak Niemcy tak wielką wagę przypisywał polityce pamięci. Przeszłość była w Republice Federalnej Niemiec czymś, co koniecznie trzeba było „przezwyciężyć", by znowu stać się suwerennym państwem. Jednym z charakterystycznych dla niemieckiej kultury politycznej Republiki Bońskiej było „Vergangenheitsbewältigung" – ciągła refleksja nad winą i odpowiedzialnością za zbrodnie III Rzeszy przy jednoczesnym silnym przeciw temu oporze i zatrzymaniu rozliczeń prawnych. Początek tego procesu to eseje Tomasza Manna z okresu wojny i tużpowojennego czy słynna rozprawa Karla Jaspersa o problemie winy z 1946 roku. Potem regularnie toczyły się wielkie debaty publiczne na temat nazistowskiej przeszłości, począwszy od roku 1961 i tak zwanej „Fischer-Debatte", przez słynny spór historyków „Historikerstreit", rozpoczęty artykułem Ernsta Noltego „Przeszłość, która nie chce odejść", oraz burzliwą dyskusję, którą w 1995 roku wywołała wystawa podważająca legendę „czystego Wehrmachtu". Także książka Daniela Goldhagena z 1996 roku stawiająca na nowo pytanie o wyjątkowość niemieckiego antysemityzmu rozgrzała niemiecką publiczność. Ostatnią wielką historyczną debatą w Niemczech był w 1998 roku spór, który rozpoczęło przemówienie pisarza Martina Walsera w czasie uroczystości wręczenia prestiżowej nagrody księgarzy niemieckich, gdy skrytykował on rytualizację pamięci o Holokauście i traktowaniu go jako „maczugi moralnej".

W sporach tych wygrywali krytycy przeszłości, ale dzięki tej narodowej debacie zbudowano nową tożsamościową narrację, według której Niemcy wyznali i pokonali błędy, oczyścili się i stali się wzorem dla innych. Im bardziej Niemcy przezwyciężali przeszłość, tym bardziej rehabilitowali się jako naród – powoli lata 1933–1945 stały się incydentem.

NIEMIECKA PAMIĘĆ I WIEDZA DOTYCZĄCA POLSKI ZAWSZE MIAŁY ZADZIWIAJĄCE LUKI.

Prezydent Richard von Weizsäcker, który był oficerem Wehrmachtu i brał udział w ataku na Polskę w 1939 roku, jako pierwszy zasugerował w przemówieniu w roku 1985, że klęskę III Rzeszy trzeba rozumieć jako wyzwolenie Niemiec. W roku 2005 kanclerz Gerhard Schröder poszedł jeszcze dalej, ogłaszając, że Niemcy zostały wyzwolo-

eprasa.pl 57937e552f

ne, zanim wyzwoliły się same. Frank-Walter Steinmeier w 2025 roku nie miał już wątpliwości: „8 maja 1945 roku zostaliśmy wyzwoleni", choć zastrzegł, że dla wielu Niemców w 1945 roku była to klęska trudna do zniesienia, a wyzwolenie przyszło z zewnątrz, bo większość Niemców trwała przy reżimie do końca. Zgodził się z nim kanclerz Friedrich Merz: „Wyzwolenie Niemiec i Europy spod nazistowskiej tyranii dało nam przyszłość. 8 maja jest dla nas dniem wdzięczności".

Z pracy nad pamięcią wyłoniły się Niemcy jako moralny lider, jako państwo występujące przeciw militaryzmowi, nacjonalizmowi, partykularyzmowi, odwołujące się do filozofii Immanuela Kanta i prawa międzynarodowego. Przezwyciężanie przeszłości zmieniło się w dość mechaniczne rytuały ekspiacyjne, w których Niemcy stali się mistrzami, a potępienie nacjonalizmu pozwoliło im nie tylko odbudować dumę narodową, lecz także stworzyć nową formę ekspansjonistycznego nacjonalizmu – zgodnie z prawami dialektyki. W miarę, jak Niemcy coraz bardziej ukazywały się wyzwolone, a nie pokonane w 1945 roku, Holocaust stawał się coraz bardziej uniwersalnym zjawiskiem europejskim, a nie czymś wynikającym z niemieckiej historii. Aż w końcu doszli do „transnarodowego Holokaustu" dzięki przełomowemu dziełu, które powstało także w rezultacie badań, jakie jego autor prowadził w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie.

Polacy, których zasługi w „wyzwalaniu" Niemiec pomijano, nie do końca zgodzili się na „przezwyciężanie" swojej przeszłości. Można było oczywiście liczyć na lewicę, która dziś dominuje na polskich uniwersytetach i w instytutach naukowych w stopniu o wiele większym niż w późnym PRL. Powstały placówki w rodzaju Centrum Badań nad Holocaustem PAN czy Centrum im. Willy'ego Brandta. Nad dialogiem polsko-niemieckim czuwał instytut w Darmstadcie i osławiona „Grupa Kopernik". Także środowisko „Gazety Wyborczej", które nie może otrząsnąć się po traumie 1968 roku, ochoczo włączyło się w proces uwalniania Polaków od narodowo-katolickich błędów przeszłości. Z zainteresowaniem przyjęto w Niemczech tezę, że w 1939 roku Polacy postąpili niemądrze, podejmując walkę z Hitlerem. W ogóle każda rewizja tradycyjnej polskiej narracji historycznej, heroizująco-romantycznej, była traktowana życzliwie. Jednak badania, które dotyczyły postaci, zdarzeń i środowisk w Niemczech ocenianych pozytywnie, były po prostu ignorowane. I tak przeciętny Niemiec nigdy się nie dowiedział, dlaczego Andrzej Szczypiorski, kiedyś przywoływany w każdym niemal przemówieniu niemieckiego polityka dotyczącym Polski, nagle został „wygumkowany", nie usłyszał nic o współpracy Lecha Wałęsy z SB itd. Niemiecka pamięć i wiedza dotycząca Polski zawsze miały zadziwiające luki. Długo nie chciano wiedzieć o zbrodniach wojennych we wrześniu 1939 roku, o Katyniu, o polskich siłach zbrojnych na Zachodzie, o Powstaniu Warszawskim, o zniszczeniu Warszawy, o walce z komunizmem w latach 40. i 50. Zbrodnie na Polakach rzadko kiedy pobudzały emocjonalnie. Niemieccy krytycy polskich „mitów narodowych" mogli natomiast liczyć na zadziwiającą usłużność wielu polskich naukowców i intelektualistów, niezwykle skłonnych do usprawiedliwiania innych i niezwykle surowych dla Polski.

POLACY, KTÓRYCH ZASŁUGI W „WYZWALANIU" NIEMIEC POMIJANO, NIE DO KOŃCA ZGODZILI SIĘ NA „PRZEZWYCIĘŻANIE" SWOJEJ PRZESZŁOŚCI.

Wydawałoby się, że taki sam wysiłek pomocy w przebudowie świadomości historycznej zostanie podjęty w stosunku do Ukrainy, że każda próba relatywizowania zbrodni UPA spotka się z ostrą reakcją zawodowych „przezwyciężaczy przeszłości". Tym bardziej że Ukraina miała szansę zbudować nową tożsamość na dzisiejszej bohaterskiej obronie przed Rosją, na swojej „prozachodniości" i „prounijności". Wydawało się, że to Niemcy będą ich do tego zachęcały, że energicznie poprą Polskę w postulacie potępienia ludobójstwa UPA i odcięcia się od faszyzującego nacjonalizmu, że pod adresem prezydenta Wołodymyra Zełenskiego padną słowa krytyki. Tak się jednak nie dzieje.

Można to oczywiście tłumaczyć trwającą wojną i obawą, by nie powielać antyukraińskiej narracji Putina, by nie obniżać motywacji ukraińskiego społeczeństwa. Wojna niewątpliwie w całej Europie zwiększyła zapotrzebowanie na historię heroiczną, a nie krytyczną i na „rozliczenia". Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że faszystowski nacjonalizm ukraiński może liczyć na łagodne, zróżnicowane, a nawet empatyczne oceny, gdy jego ofiarami byli Polacy, a także że obecna ukraińska polityka pamięci wydaje się niektórym politykom użyteczna w budowaniu nowego ładu w Europie Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl 57937e552f

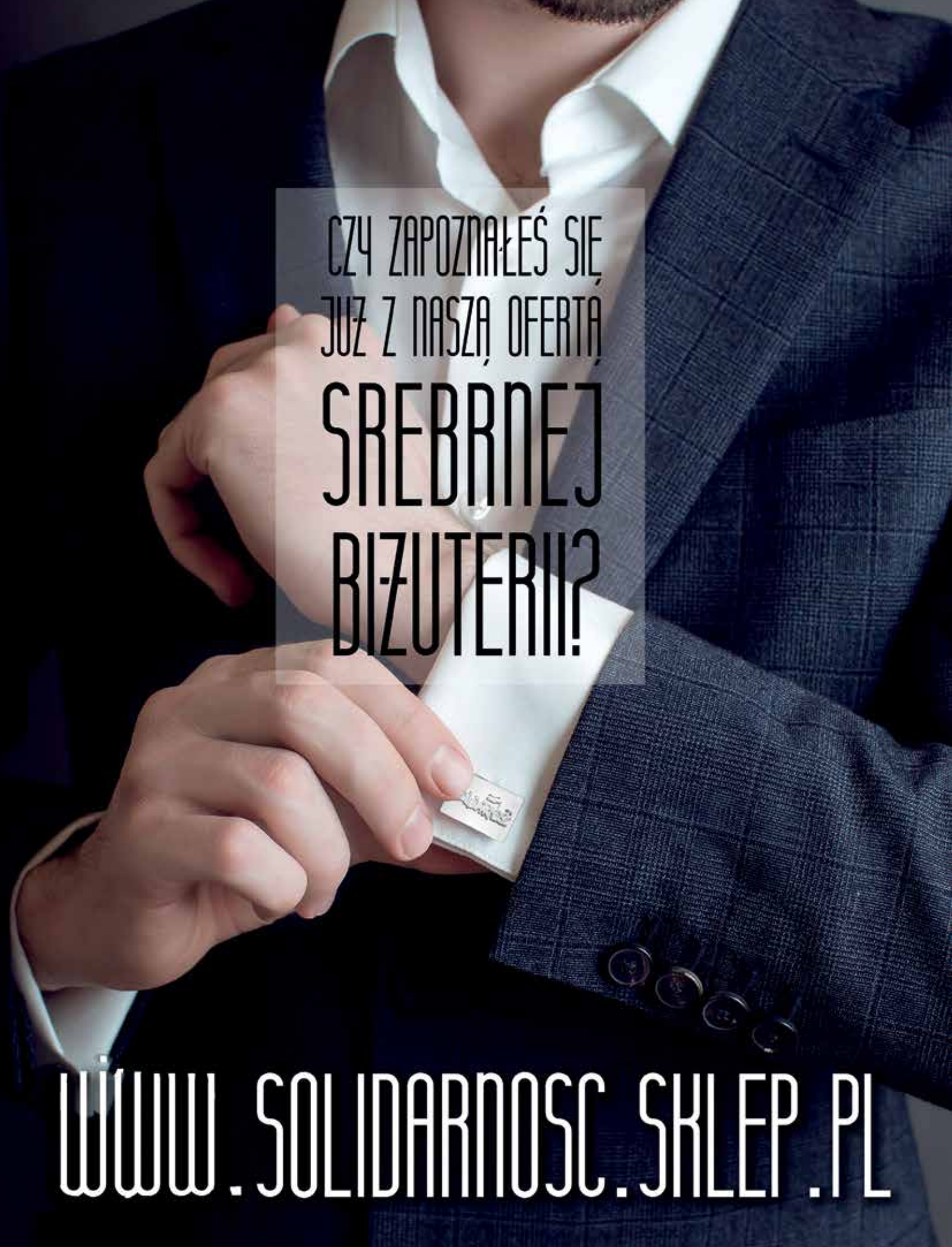
CZY ZAPOZNAŁEŚ SIĘ
JUŻ Z NASZĄ OFERTĄ
SREBRNEJ
BIŻUTERII?
WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Panie Tomku, skupimy się dziś na rzezi wołyńskiej. Burzę w Polsce wywołała decyzja prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednostce wojskowej Odrębnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imienia „Bohaterów UPA".

Tomek: – Nie dziwi mnie to. Spotkałem kiedyś znajomą, która powiedziała, że z jej rodziny aż 13 osób zginęło podczas rzezi wołyńskiej. Za jakiś czas spotkałem ją znowu. Wiesz, co mi powiedziała? Po tym, jak zgłębiła temat, okazało się, że nie było to 13 członków rodziny, ale 33!

– Gdzie ją Pan spotkał?

– Na Marszu Rzezi Wołyńskiej, a później na giełdzie fotograficznej. Pod Pomnikiem Rzezi Wołyńskiej był w 2025 roku wieniec od prezydenta Andrzeja Dudy, a także kwiaty w barwach flagi ukraińskiej oraz wieniec od licznej grupy kibiców Legii Warszawa, w tym od wielu młodych ludzi.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 57937e552f

KULTURA

Czytaj też:
Tożsamość Zagłebia Dąbrowskiego 62

Lubię, kiedy DUŻO SIĘ DZIEJE

Fot. Ewa Piekut

– Chciałabym zostawić po sobie ślad. Może brzmi to patetycznie, ale wierzę, że sztuka daje pewien rodzaj nieśmiertelności. Piosenki, teksty, nagrania mogą zostać na długo po nas. Chciałabym, żeby moje słowa żyły własnym życiem także w przyszłości – mówi **EleeS**, prawniczka, ekonomistka, lingwistka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Zanim przejdziemy do muzyki, chciałbym zapytać o Twoją działalność zawodową. Czym się zajmujesz na co dzień?

– Tych aktywności rzeczywiście jest sporo. Na co dzień wykładam na Uniwersytecie SWPS. Uczę prawa po angielsku, więc łączę dwie dziedziny, które są mi bardzo bliskie – język i prawo. To już mój drugi rok na uczelni i mam nadzieję, że przede mną jeszcze wiele ciekawych lat pracy ze studentami.

– Jesteś z wykształcenia prawniczką?

– Tak, choć zaczęło się od lingwistyki. Język fascynował mnie od zawsze. Później ukończyłam również studia prawnicze, a po drodze także SGH. Można więc powiedzieć, że jestem po trochu lingwistką, prawniczką i ekonomistką. Lubię się rozwijać i jeśli coś mnie zainteresuje, zwykle angażuję się w to bardzo mocno.

– Jak przy takim natłoku obowiązków znalazłaś czas na muzykę?

– W pewnym sensie muzyka była ze mną od zawsze. Może nie od strony zawodowej, ale od strony słowa. Pisałam teksty, wiersze, obserwowałam ludzi i codzienne sytuacje. Fascynuje mnie to, jak słowa brzmią, jak się ze sobą łączą, jakie mają znaczenia. Bardzo często inspiracje przychodzą z pozornie zwyczajnych sytuacji. Ktoś coś powie, wydarzy się coś zabawnego albo wzruszającego i nagle rodzi się pomysł na tekst.

eprasa.pl 57937e552f

„**Szczyt jest celny**” to utwór, który opowiada o drodze stanowiącej metaforę życia. Artystka wykorzystuje w niej meandry językowe oraz zabawy słowne, a sam pomysł na utwór wziął się ze zwykłego przejęzyczenia: „szczyt jest celny” zamiast „cel jest szczytny”. Cel jak szczyt – połyskuje i nęci z oddali, ale dotarcie do niego może zająć nam nawet całe życie i być istnym „biegiem z przeszkodami”.

– Myślałaś kiedyś o pisaniu dla innych artystów?

– Takie pomysły się pojawiały. Niektóre teksty nawet powstawały z myślą o innych wykonawcach. Ostatecznie jednak doszłam do wniosku, że sama najlepiej czuję swoje słowa. Kiedy autor śpiewa własny tekst, przekazuje emocje w najbardziej naturalny sposób. Dlatego postanowiłam pisać przede wszystkim dla siebie.

– Jaką dziedzinę prawa lubisz najbardziej?

– To trudne pytanie, bo uczę różnych obszarów prawa. Jeśli jednak miałabym wskazać swoje zainteresowania, to byłyby to: prawa konsumentów, prawo konkurencji i prawo autorskie. W każdej dziedzinie można znaleźć coś fascynującego.

– Kiedy muzyka stała się dla Ciebie czymś więcej niż hobby?

– Przełomowym momentem było spotkanie producentki muzycznej i kompozytorki Zuzy Ossowskiej, znanej jako OS.SO. Bardzo szybko złapałyśmy wspólny język. Ja przynosiłam teksty, ona tworzyła muzykę i aranżacje. Nagle okazało się, że po jednym spotkaniu mamy gotowy utwór. Ta współpraca trwa do dziś i bardzo mnie rozwija.

– W jakiej estetyce muzycznej odnajdujesz się najlepiej?

– Ostatnio coraz bliżej mi do rocka. Zaczynałam od bardziej refleksyjnych i spokojnych utworów, takich jak „Idę do lasu” czy „Podwodna kołysanka”. Teraz pojawiają się mocniejsze brzmienia. Jednocześnie nie chcę się ograniczać do jednego gatunku. Mam przygotowane również utwory inspirowane klimatem lat osiemdziesiątych, bardziej taneczne. Lubię różnorodność.

– Myślisz już o płycie?

– Materiał na płytę właściwie jest gotowy. Czeka na odpowiedni moment. Mam też kilka singli, które są już przygotowane i czekają na swoją premierę.

– Czy doświadczenie prawnicze pomaga odnaleźć się w branży muzycznej?

– Z pewnością pomaga zachować ostrożność. Początkujący artyści często podpisują dokumenty bez dokładnego zapoznania się z ich treścią. Tymczasem można w ten sposób łatwo stracić część swoich praw. Moja podstawowa rada jest bardzo prosta: zawsze czytać umowy i konsultować wszelkie wątpliwości. Lepiej poświęcić więcej czasu na analizę dokumentu, niż później żałować.

FASCYNUJE MNIE TO, JAK SŁOWA BRZMIĄ, JAK SIĘ ZE SOBĄ ŁĄCZĄ, JAKIE MAJĄ ZNACZENIA.

– Wiem, że szczególne miejsce w Twoim sercu zajmuje Nowa Zelandia. Skąd ta fascynacja?

– Podczas studiów w SGH miałam okazję wyjechać tam na wymianę studencką. Spędziłam w Nowej Zelandii semestr i zakochałam się w tym kraju. Są tam przepiękne krajobrazy, góry, ocean i niezwykła atmosfera spokoju. Później wróciłam tam jeszcze raz i mam nadzieję, że kiedyś uda mi się ponownie odwiedzić ten zakątek świata.

– Nadal piszesz poezję?

– Tak, choć nie jest to regularne. Poezja wymaga inspiracji i emocji. Dziś często te same impulsy prowadzą mnie już bezpośrednio do pisania piosenek. Można powiedzieć, że poezja i muzyka zaczęły się u mnie przenikać.

– Nie masz wrażenia, że poezja stała się dziś niszowa?

– Kiedyś tak myślałam. Potem okazało się, że wokół mnie jest sporo osób, które nadal czytają poezję i interesują się współczesnymi autorami. To było dla mnie pozytywne zaskoczenie. Muzyka jednak pozwala dotrzeć do szerszego grona odbiorców, dlatego często właśnie w niej umieszczam swoje teksty.

– Lubisz neologizmy. Masz jakiś ulubiony?

– W utworze „Idę do lasu” pojawia się słowo „dorzeczność”. Skoro istnieje „niedorzeczność”, to dlaczego nie miałaby istnieć „dorzeczność”? Lubię bawić się językiem i szukać nowych znaczeń.

– Współczesna muzyka często stawia na melodię bardziej niż na tekst. Nie przeszkadza Ci to?

– Czasami szkoda mi, gdy warstwa liryczna schodzi na dalszy plan. Sama bardzo zwracam uwagę na słowa i podziwiam autorów, którzy potrafią zaskakiwać skojarzeniami czy metaforami. Jednocześnie uważam, że każdy ma prawo wyrażać się po swojemu. Najważniejsze,

eprasa.pl 57937e552f

żeby za muzyką stały prawdziwe emocje.

– Jaki jest Twój cel jako artystki?
– Chciałabym zostawić po sobie ślad. Może brzmi to patetycznie, ale wierzę, że sztuka daje pewien rodzaj nieśmiertelności. Piosenki, teksty, nagrania mogą zostać na długo po nas. Chciałabym, żeby moje słowa żyły własnym życiem także w przyszłości.

– Kiedy zaczęła się Twoja przygoda ze śpiewaniem?
– Już jako nastolatka występowałam na różnych wydarzeniach i śpiewałam amatorsko. Natomiast dwa lata temu postanowiłam potraktować muzykę profesjonalnie. Zaczęłam nagrywać własne utwory i publikować je w serwisach streamingowych. To był moment, kiedy poczułam, że chcę iść tą drogą na poważnie.

– Gdybyś mogła wystąpić jako support swojego ulubionego artysty, kto by to był?
– Bardzo cenię twórczość Pera Gessle'a z Roxette. Miałam okazję go kiedyś spotkać, jego sposób komponowania wywarł na mnie duży wpływ. Z polskich artystów bardzo cenię też twórców, którzy przykładają dużą wagę do słowa.

– Chcesz trafić do szerokiej publiczności czy raczej budować własną niszę?
– Mam nadzieję, że będzie coraz więcej ludzi, którzy zwracają uwagę na tekst, metaforę i nieoczywiste znaczenia. Jeśli taka wrażliwość stanie się bardziej powszechna, będę bardzo szczęśliwa.

– Studenci wiedzą, że ich wykładowczyni nagrywa piosenki?
– Tak, część z nich wie i słucha mojej muzyki. To bardzo miłe.

– Kto jest odbiorcą Twojej twórczości?
– Przede wszystkim osoby wrażliwe. Ludzie, którzy lubią refleksję, emocje i słowo. Wiek nie ma tutaj większego znaczenia. Taką wrażliwość można mieć zarówno w wieku dwudziestu, jak i sześćdziesięciu lat.

MÓJ MĄŻ KONSTRUUJE SILNIKI LOTNICZE. DZIĘKI TEMU NASZE ROZMOWY BYWAJĄ NAPRAWDĘ INTERESUJĄCE.

– Jak wygląda typowy dzień EleeS?
– Bardzo intensywnie. Dzień zaczyna się wcześnie, później są zajęcia na uczelni, indywidualne lekcje, przygotowywanie materiałów, obowiązki zawodowe i muzyczne. Czasu jest zawsze za mało, ale lubię, kiedy dużo się dzieje.

– Twój mąż również prowadzi równie aktywne życie?
– Tak, choć działa w zupełnie innej branży – konstruuje silniki lotnicze. Dzięki temu nasze rozmowy bywają naprawdę interesujące.

– Oprócz muzyki jesteś także związana z radiem.
– Tak, prowadzę audycję w Radiu Bemowo FM. Rozmawiam zarówno o muzyce, jak i o prawie. Słuchacze zadają pytania, dzielą się swoimi problemami, a ja staram się je wyjaśniać. To kolejna przestrzeń do kontaktu z ludźmi.

– Jakiej muzyki można tam posłuchać?
– Przede wszystkim rocka, ale bardzo szeroko rozumianego. Pojawiają się zarówno klasyczne zespoły, jak i nowości. Czasem można usłyszeć ABB-ę, czasem Eminema. Lubię różnorodność.

– Kiedy i gdzie można Cię usłyszeć?
– W każdy piątek o godzinie 13.00 w Radiu Bemowo FM.

EleeS

Powiedzieć o niej „śpiewająca poetka" to nic nie powiedzieć. Pochodząca z Mazowsza, ciekawa świata i ludzi podróżniczka, która w przeszłości studiowała w Nowej Zelandii. Miłośniczka języków obcych swoją sztukę tworzy po polsku, angielsku i niemiecku. Od wczesnego dzieciństwa pisze wiersze, a dziś jest laureatką wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Lubi bawić się słowem, rymem i rytmem, podobnie jak jej idole – Julian Tuwim i Miron Białoszewski. W jej tekstach znajdziemy niebanalne inspiracje – od matematyki wyższej i fizyki aż po rynek giełdowy. Swoje przemyślenia często zamyka w metaforach i odległych skojarzeniach. Lubi neologizmy, wieloznaczności i niedopowiedzenia.

Kryjąca się pod pseudonimem EleeS Eliza Szachowicz to z wykształcenia lingwistka, ekonomistka i prawniczka, która bacznie przygląda się otaczającej ją rzeczywistości, przepuszczając ją przez filtr własnych doświadczeń. Swoje spostrzeżenia opisuje lirycznie i muzycznie – tak powstają jej autorskie piosenki, które przenika unikalny rockowy pazur.

eprasa.pl 57937e552f

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

LIZZO – BITCH
WYD. NICE LIFE RECORDING COMPANY
AND ATLANTIC RECORDING CORPORATION

„Bitch" to album, na którym Lizzo próbuje odzyskać własną narrację, łącząc bezkompromisową pewność siebie z bardziej osobistymi refleksjami. Artystka swobodnie porusza się między popem, soulem, R&B i elementami rocka, nie zamykając się w jednej stylistyce, choć momentami odbywa się to kosztem spójności całego wydawnictwa. Największą siłą płyty pozostaje jej charyzma – nawet gdy kompozycje nie zaskakują formalnie, wokalistka potrafi nadać im charakter i emocjonalną wiarygodność. Teksty balansują między manifestem niezależności a próbą rozliczenia z trudniejszym okresem kariery, dzięki czemu album zyskuje bardziej osobisty wymiar. „Bitch" nie jest najbardziej przebojowym materiałem w dorobku Lizzo, ale stanowi interesującą próbę artystycznego przełamania i pokazuje twórczynię, która zamiast powielać sprawdzone schematy, szuka nowego języka dla swojej muzyki.

SKRILLEX – SOMA
WYD. OWSLA/ATLANTIC RECORDING CORPORATION

„Soma" pokazuje Skrillexa jako producenta, który nie boi się eksperymentować z elektroniką, jednocześnie zachowując charakterystyczną dla siebie precyzję brzmieniową. Utwór budowany jest stopniowo, prowadząc słuchacza od subtelnych, niemal ambientowych fragmentów do intensywnych kulminacji pełnych pulsujących basów i złożonych struktur rytmicznych. Produkcja imponuje dbałością o detale, a każdy dźwięk wydaje się mieć swoje miejsce w misternie skonstruowanej całości. Mimo licznych zmian tempa i nastroju kompozycja pozostaje spójna i angażująca. „Soma" nie jest łatwym materiałem dla przypadkowego odbiorcy, ale wynagradza cierpliwość bogactwem faktur i pomysłów. To przykład nowoczesnej elektroniki, która stawia na atmosferę równie mocno jak na energię parkietową.

EVANESCENCE – SANCTUARY
WYD. COLUMBIA

„Sanctuary" wpisuje się w rozpoznawalną estetykę Evanescence, łącząc monumentalne aranżacje z emocjonalnym wokalem i rockową ekspresją. Utwór buduje napięcie stopniowo, wykorzystując kontrast między delikatnymi partiami fortepianu a cięższymi gitarami i pełnym rozmachem refrenem. Największą siłą kompozycji pozostaje jednak warstwa emocjonalna – poczucie tęsknoty, potrzeba schronienia i wewnętrznej siły wybrzmiewają w każdym wersie. Produkcja zachowuje równowagę między nowoczesnym brzmieniem a charakterystycznym gotyckim klimatem zespołu. „Sanctuary" nie próbuje za wszelką cenę zaskakiwać, lecz konsekwentnie rozwija elementy, które od lat stanowią znak firmowy grupy. To utwór, który trafia zarówno do wieloletnich fanów, jak i słuchaczy szukających emocjonalnej głębi.

NIALL HORAN – DINNER PARTY
WYD. CAPITOL RECORDS

„Dinner Party" prezentuje Nialla Horana z bardziej swobodnej i lekkiej strony, stawiając na melodyjność oraz ciepłą atmosferę inspirowaną klasycznym pop-rockiem. Tytułowa piosenka albumu rozwija się bez pośpiechu, opierając się na przyjemnym gitarowym akompaniamencie i subtelnych elementach produkcyjnych, które nie dominują nad wokalem. Horan śpiewa z naturalnością i wyczuciem, dzięki czemu tekst o relacjach oraz codziennych spotkaniach nabiera wiarygodności. Kompozycja nie sili się na efektowne zwroty akcji, lecz urzeka prostotą i konsekwencją wykonania. To utwór idealny na spokojny wieczór, pokazujący, że artysta potrafi budować klimat bez zbędnego patosu. „Dinner Party" potwierdza jego talent do pisania piosenek opartych na szczerych emocjach i chwytliwych melodiach.

eprasa.pl 57937e552f

Tożsamość Zagłębia Dąbrowskiego

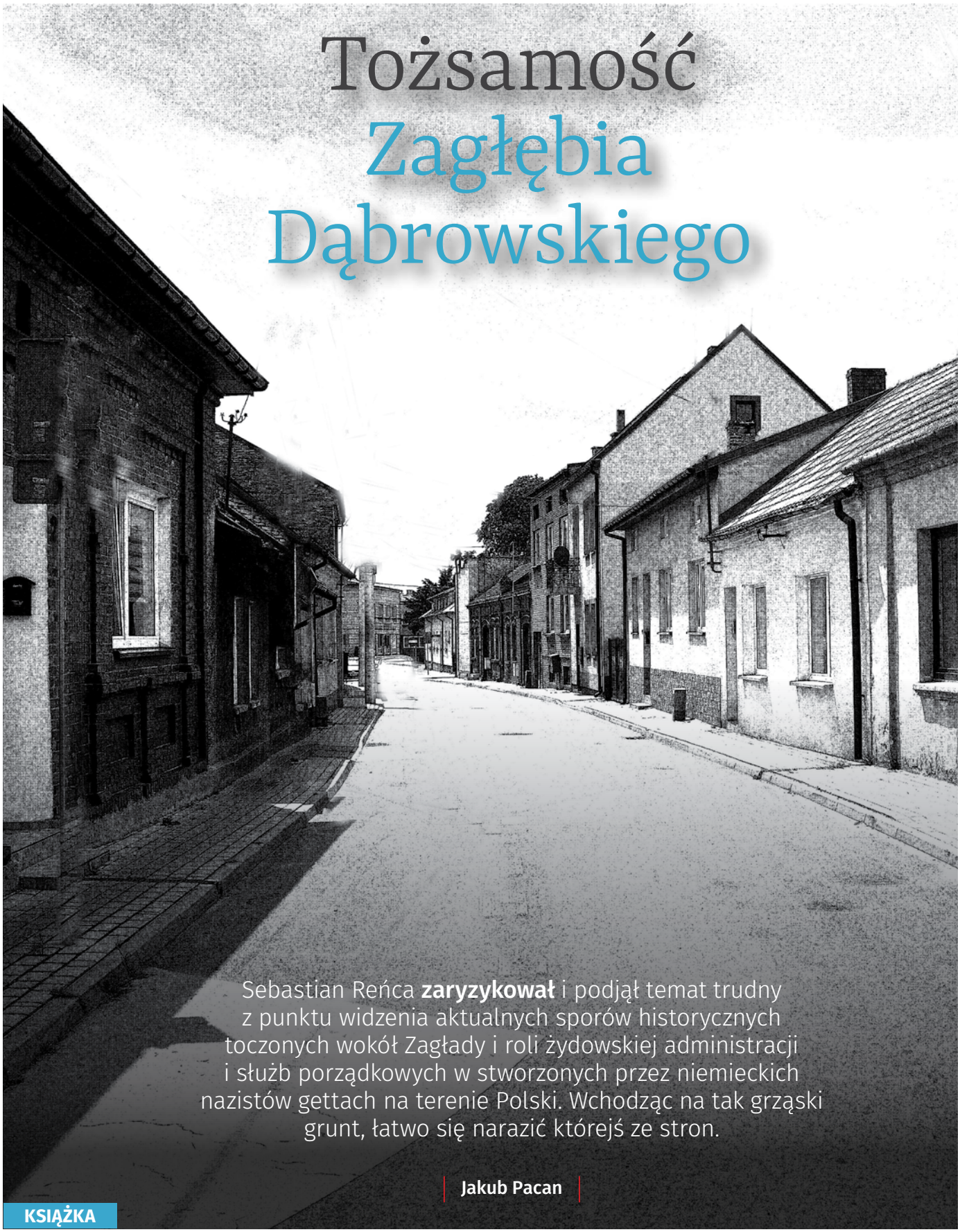

Sebastian Reńca **zaryzykował** i podjął temat trudny z punktu widzenia aktualnych sporów historycznych toczonych wokół Zagłady i roli żydowskiej administracji i służb porządkowych w stworzonych przez niemieckich nazistów gettach na terenie Polski. Wchodząc na tak grząski grunt, łatwo się narazić którejś ze stron.

Jakub Pacan

KSIĄŻKA

eprasa.pl 57937e552f

Mimo wszystko Reńca to wyzwanie podjął i się obronił. Dochodzące z różnych baniek ideologicznych recenzje i komentarze pokazują rzecz w dzisiejszych czasach rzadką – uznanie dla książki z różnych, przeciwstawnych stron politycznej barykady.

„Zapraszam w podróż do przeszłości. Niech ta książka stanie się wehikułem czasu, a ja będę waszym przewodnikiem i pośrednikiem w rozmowach z duchami. Nie jest to rozprawa naukowa, takie znajdziecie w poważnych opracowaniach historycznych. Moja książka jest reportażem historycznym, bardziej przypomina patchwork, czyli różne historie podzielone na rozdziały, które doczytane do końca dadzą pewien obraz Merinowskiego królestwa i monarchy, o którym Chaim Mołczadzki z Będzina powiedział: «Cokolwiek Merin robi, jest dobre – jest błogosławionym przez Boga przywódcą»" – pisze autor.

Główny bohater książki to Mojżesz (Mosze, Moniek) Merin (ur. w 1905 roku w Sosnowcu, zm. w Auschwitz-Birkenau) – przewodniczący Centrali Żydowskich Rad Starszych na Wschodnim Górnym Śląsku (Zentrale der Jüdischen Ältestenräte in Oberschlesien) w czasie okupacji niemieckiej. Był postacią bardzo złożoną, nawet na stronie Wirtualnego Sztetla można o nim przeczytać: „Ze względu na współpracę z Niemcami był osobą bardzo kontrowersyjną. Organizował agitacje i przygotowywał listy żydowskich robotników wysyłanych na roboty przymusowe. Uważał, że współpraca z okupantem jest dla Żydów jedyną szansą na przeżycie. W początkowym okresie jego polityka przynosiła korzyści i cieszył się względnym zaufaniem u władz niemieckich. Gdy nasiliły się prześladowania i deportacje do obozów zagłady, Żydzi zaczęli odnosić się do niego sceptycznie".

Autor nie proponuje klasycznej biografii. Czytelnik otrzymuje reportaż historyczny zbudowany z wielu głosów, świadectw i epizodów. To konstrukcja przypominająca mozaikę, której sens odsłania się stopniowo. Reńca sam trafnie określa swoją metodę jako „patchwork". Poszczególne rozdziały funkcjonują niczym osobne opowieści, lecz razem tworzą wielowymiarowy portret świata tak okrutnego, że przechadzając się po dzisiejszym Sosnowcu, aż trudno uwierzyć, co się tam działo w czasie Zagłady. Merin jest centrum narracji, ale nie jej jedynym bohaterem, jest punktem odniesienia dla rozważań moralnych dla czytelnika.

Niewątpliwą zaletą „Szulera", być może najważniejszą, jest odmowa ferowania łatwych wyroków. Reńca nie tworzy aktu oskarżenia ani mowy obrończej, nie podsuwa tanich wskazówek etycznych, nie naprowadza czytelnika. Nie próbuje rehabilitować Merina, ale też nie pozwala sobie na przedstawianie go tylko negatywnie. Pytanie, co dzieje się z moralnością i człowieczeństwem w świecie, w którym niemal każdy wybór prowadzi do ofiar, niepokojąco unosi się nad niemal każdą stronicą książki. Czy można zachować niewinność tam, gdzie samo przetrwanie wymaga kompromisu? Oto jest pytanie.

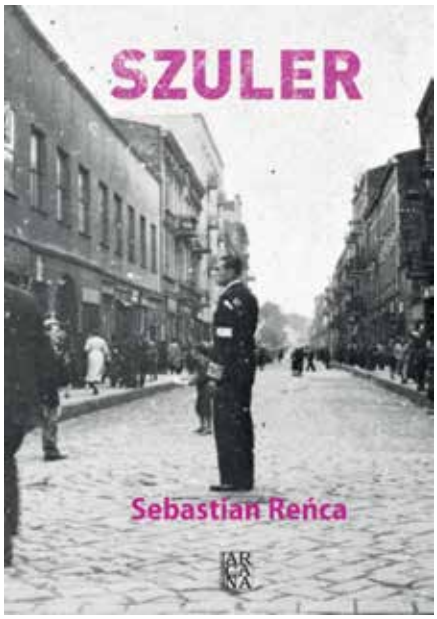

W tym wszystkim pojawiają się fragmenty poświęcone mechanizmom władzy. Merin ukazuje się jako człowiek o ogromnych ambicjach, świadomy swojej pozycji i wyjątkowości, a jednocześnie tymczasowości swojej władzy. Autor ukazuje, jak w warunkach totalnego terroru rodzi się pokusa autorytaryzmu oraz przekonanie, że cel uświęca środki. Merin wydaje rozkazy, buduje administrację, decyduje o losach tysięcy osób, ale ma pełną świadomość, że pozostaje jedynie pionkiem, narzędziem w wielkiej machinie śmierci prowadzonej przez okupanta. To wewnętrzne napięcie Merina, pełne paradoksów, Reńca wydobywa z dużą przenikliwością.

Momentami „król Zagłębia" w swoich dylematach moralnych i fatalizmie przypomina postać z greckich tragedii.

KSIĄŻKA ZBIERA POCHWAŁY ZA WARSZTAT HISTORYCZNY I ZACIĘCIE REPORTERSKIE AUTORA. I SŁUSZNIE.

Książka zbiera pochwały za warsztat historyczny i zacięcie reporterskie autora. I słusznie. Sebastian Reńca, historyk z Zagłębia, nosi tę historię w sobie, przeżywa ją, zna z opowieści babci i naocznych świadków. Z lektury książki wyłaniają się godna uznania ogromna kwerenda, lata spędzone w bibliotekach, archiwach, na korespondencji ze znawcami tematu. Autor operuje jednak faktami bez popadania w akademicki chłód. Nie zasypuje czytelnika datami ani przypisami. Buduje za to atmosferę epoki, rekonstruuje emocje, oddaje napięcia społeczne. To żywy styl, obrazowy, chwilami wręcz filmowy.

Na koniec warto podkreślić, że książkę uznać można za pozycję ważną dla budowania pamięci o tożsamości Zagłębia Dąbrowskiego i okolic. Dla lokalnych regionalistów powinna to być lektura obowiązkowa w domowej biblioteczce.

Sebastian Reńca, „Szuler. Opowieść o królu Mońku Merinie i jego poddanych", Wydawnictwo Arcana, Kraków 2025.

eprasa.pl 57937e552f

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **16 CZERWCA** zdarzyło się:

1852 – położono kamień węgielny pod budowę browaru w Żywcu;

1950 – w Rio de Janeiro otwarto stadion Maracanã;

1960 – odbyła się premiera dreszczowca „Psychoza" w reżyserii Alfreda Hitchcocka.

PLANETA ZWANA AUSCHWITZ według rotmistrza Pileckiego

W sobotę, 20 czerwca 1942 r., z Konzentrationslager Auschwitz w Oświęcimiu wyjechał samochód Stayer 220 o numerze rejestracyjnym SS – 20868. W środku siedziało trzech esesmanów i jeden więzień **skuty kajdankami**. Po drodze samochód został na dłużej przytrzymany przed szlabanem. Jeden z jadących krzyknął w kierunku wartownika po niemiecku: – Na co czekasz, durniu?! Podnieś szlaban, albo każę ci iść pieszo!

Sebastian Reńca

Rotmistrz Witold Pilecki w obozie stracił swe nazwisko i był Tomaszem Serafińskim, a według niemieckich zarządców obozu – numerem: 4859

eprasa.pl 57937e552f

Nieco dalej auto przejechało przez most na Sole, minęło też adiutanta Rudolfa Hoessa, jadący konno Hans Aumeier, widząc samochód komendanta, zasalutował jadącym nim oficerom.

W istocie pasażerami byli więźniowie, którzy ukradli mundury SS oraz samochód, który porzucili około 100 km od obozu. Jeden z nich przewiózł raport o tym, co dzieje się w Auschwitz. Jego autorem był rotmistrz Witold Pilecki, który w obozie stracił swe nazwisko i był Tomaszem Serafińskim, a według niemieckich zarządców obozu – numerem: 4859.

Filmowa ucieczka

O tamtej ucieczce Pilecki wspomniał w kolejnym z raportów: „Przesyłam znowu raport do Warszawy przez pdch. 112, który z trzema kolegami zmontował wspaniałą ucieczkę z obozu. Byłem kiedyś dawno na filmie «10 z Pawiaka». Śmiem sądzić, że ucieczka czterech więźniów z Oświęcimia, najlepszym w obozie autem komendanta lagru, po przebraniu się w mundury oficerów SS, na tle warunków tego piekła, może być dla filmu kiedyś tematem naprawdę doskonałym”.

Fot. Wikimedia Commons

Nic z tego, ani o Pileckim, ani o tamtej ucieczce nie powstał żaden film fabularny. Wspomina się o nich jedynie w filmowych dokumentach.

Dwa lata przed tamtą spektakularną ucieczką – 14 czerwca 1940 r. do Paryża wkroczyli Niemcy, a do KL Auschwitz przywieziono pierwszy transport więźniów z Tarnowa. Było to 728 mężczyzn, których oznaczono numerami od 31 do 758. Pierwszych trzydzieści numerów trafiło do kryminalistów przywiezionych do Oświęcimia z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, ci zostali mianowani przez Niemców funkcyjnymi.

MAJĄC NOWĄ TOŻSAMOŚĆ I LAKONICZNE INFORMACJE O TYM, CO DZIEJE SIĘ W OŚWIĘCIMIU, MIAŁ ZAPROPONOWAĆ SWYM PRZEŁOŻONYM W TAJNEJ ARMII POLSKIEJ, ŻE ZNAJDZIE SPOSÓB, BY DOSTAĆ SIĘ DO LAGRU. TAM MIAŁ ZOBACZYĆ NA WŁASNE OCZY, CO SIĘ DZIEJE W OBOZIE, ORAZ SPRÓBOWAĆ ZORGANIZOWAĆ KONSPIRACJĘ.

KL Auschwitz-Birkenau oraz jego liczne podobozy funkcjonowały do stycznia 1945 r. W tym czasie w obozie zginęło ponad milion osób. Polskie Państwo Podziemne wiedziało, co się dzieje w obozie m.in. dzięki raportom z Auschwitz, których autorem był rotmistrz Witold Pilecki.

Kacetnik na ochotnika

Był poranek 19 września 1940 r. Warszawską ulicą szedł szybkim krokiem mężczyzna, wyglądający na czterdziestolatka. O godz. 6 rano okupanci urządzili łapankę, kto miał szczęście, uciekł przed Niemcami. Niektórzy z nich ze zdziwieniem patrzyli na tego mężczyznę, który zamiast oddalać się od łapanki jak oni, szedł prosto w łapy szwabów. W pewnym momencie został zatrzymany głośnym „Halt!” i wymierzoną w niego bronią. Pilecki tak wspominał tamten poranek: „Na rogu alei Wojska i Felińskiego stanąłem w «piątki» ustawiane przez esesmanów z łapanych mężczyzn. Potem załadowano nas na Placu Wilsona do aut ciężarowych i zawieziono do koszar szwoleżerów. Po spisaniu danych personalnych w zorganizowanym tam prowizorycznie biurze i odebraniu ostrych przedmiotów (pod groźbą zastrzelenia, jeśli się potem u kogoś bodaj żyletka znajdzie) wprowadzono nas na ujeżdżalnię, gdzie pozostawaliśmy przez 19 i 20 września”.

Tego samego dnia zatrzymano również Władysława Bartoszewskiego, który w rozmowie z Michałem Komarem tak opowiadał o tym, co działo się po łapance: „W hali było ponad tysiąc Polaków pilnowanych przez dwóch podoficerów niemieckiej Służby Bezpieczeństwa (SD). Jeden z nich ustawił na stoliku ręczny karabin maszynowy i co jakiś czas puszczał serię nad naszymi głowami. Po jakimś czasie pozwolili nam usiąść, dali nawet kubły z wodą. Minęło kilkanaście godzin. Ustawiono nas w kolejkach do stolików, przy których siedzieli oficerowie i umundurowane maszynistki. Rozpoczęło się dokładne sprawdzanie dokumentów”.

Pilecki był spokojny o swoją „legendę”, a dzięki niej, która polegała na przybraniu nowego nazwiska – o losy najbliższych, żony i dzieci. Dokumenty na nazwisko Tomasz

eprasa.pl 57937e552f

Serafiński stwierdzały, że jest urodzonym w 1902 r. w Bochni oficerem rezerwy, a w Warszawie mieszka przy Kasimir-Strasse 47 i jest zatrudniony w firmie kosmetycznej „Raczyński i Spółka". Pilecki znalazł kenkartę na to nazwisko w lokalu, w którym mieszkał. Wymienił w dokumencie jedynie fotografię. Mając nową tożsamość i lakoniczne informacje o tym, co dzieje się w działającym od czerwca obozie w Oświęcimiu, miał zaproponować swym przełożonym w Tajnej Armii Polskiej, że znajdzie sposób, by dostać się do lagru (inna wersja mówi, że otrzymał taki rozkaz). Tam miał zobaczyć na własne oczy, co się dzieje w obozie, oraz spróbować zorganizować konspirację.

W ciągu tych kilkudziesięciu godzin terroru urządzonego po łapance, który wkrótce miał się okazać tylko namiastką niemieckiego sadyzmu, Pilecki był zniesmaczony „biernością masy Polaków": „Wszyscy złapani nasiąkli już jakąś psychozą tłumu, która wtedy wyrażała się w tym, że cały ten tłum upodobnił się do stada baranów". Rotmistrza nęciła myśl, by „wzburzyć umysły, poderwać do czynu tę masę", jednak opanował się, miał inny cel...

21 września złapanych w łapance załadowano do ciężarówek, które ruszyły w kierunku Dworca Zachodniego. Tam Niemcy załadowali ich do wagonów wysypanych wapnem i pociąg ruszył. Zatrzymał się o godz. 22. Wkrótce wokół rozległy się krzyki, szczęk otwieranych wagonów oraz ujadanie psów.

W RAPORCIE PRZECZYTAMY, ŻE NIEMCY KTÓREGOŚ DNIA POWIESILI SKRZYNKĘ POCZTOWĄ, DO KTÓREJ WIĘŹNIOWIE MIELI WRZUCAĆ DONOSY, CHOĆBY O PODSŁUCHANYCH ROZMOWACH. ZA WAŻNY DONOS WIĘZIEŃ, KTÓRY SIĘ POD NIM PODPISAŁ, MIAŁ BYĆ NAGRODZONY.

Inna planeta

„To miejsce we wspomnieniach moich nazwałbym momentem, w którym kończyłem ze wszystkim, co było dotychczas na Ziemi, i zacząłem coś, co było chyba gdzieś poza nią. Nie jest to silenie się na jakieś dziwne słowa, określenia. Przeciwnie – uważam, że na żadne słówko ładnie brzmiące, a nieistotne, wysilać się nie potrzebuję. Tak było. W głowy nasze uderzały nie tylko kolby esesmanów – uderzało coś więcej. Brutalnie kopnięto we wszystkie nasze pojęcia, do których myśmy się na Ziemi przyzwyczaili (do jakiegoś porządku rzeczy – prawa). To wszystko wzięło w łeb. Usiłowano uderzyć możliwie radykalnie. Załamać nas psychicznie jak najszybciej" – raportował Pilecki, który tamtej nocy z soboty na niedzielę, z 21 na 22 września 1940 r., miał wrażenia jakby znalazł się na innej planecie, daleko poza Ziemią. „Znalazłem się w warunkach, które uderzyły we wszystkie moje pojęcia dotychczasowe. W ciągu paru dni czułem się oszołomiony i jakby przerzucony na inną planetę".

Dookoła esesmani, a wśród więźniów inni więźniowie w dziwnych pasiastych ubraniach z pałami w rękach, którymi okładali ludzi złapanych w warszawskiej łapance i przywiezionych do Auschwitz. Kapowie bili po głowach, kopali tych, którzy upadli, a następnie po nich skakali. „Ach! Więc zamknęli nas w zakładzie dla obłąkanych!..." – przemknęło przez myśl rotmistrza. „Co za podłość!" – myślał i konstatował, że wówczas rozumował jeszcze kategoriami Ziemi. Rotmistrz jednak szybko zmienił zdanie, to nie byli wariaci w pasiakach, a „jakieś potworne narzędzie do wymordowania Polaków, rozpoczynające swe dzieło od inteligencji".

Pilecki się nie mylił. W tamtym transporcie, w którym i on został przywieziony na inną planetę zwaną KL Auschwitz, przywieziono 1139 mężczyzn ujętych w łapankach oraz 566 więźniów Pawiaka. Stało się to w ramach niemieckiej Akcji AB, tzw. Nadzwyczajnej Akcji Pacyfikacyjnej skierowanej przeciwko polskiej inteligencji.

Oczy tego małego chłopca...

Raport Pileckiego miał być „suchy", a zawarte w nim zdania zawierać tylko „fakty bezwzględne", jednak rotmistrz już w pierwszych akapitach przyznawał, że nie jest to do końca możliwe, skoro człowiek za drutami zadawał sobie pytanie „Dlaczego?", jeśli poza drutami „jest świat nadal i ludzie żyją, jak żyli dotychczas". Były jednak takie momenty, w których zdarzało się, iż więzień zapo-

PILECKI PRZYZNAWAŁ, ŻE ŚMIERĆ W OBOZIE, Z KAŻDYM KOLEJNYM DNIEM, TYGODNIEM I MIESIĄCEM OBOJĘTNIAŁA.

eprasa.pl 57937e552f

minał, gdzie jest. „Gdy czasami stało się na apelu wieczornym – wieczór mógłby być piękny, gdyby nie stały duch mordu, unoszący się nad nami” – pisał Pilecki.

Jego raporty są wyjątkowym źródłem, daje w nich szczególne opisy Auschwitz, gdyż niemal reporterskie, na przykład wtedy, gdy opisuje różne sposoby mordowania więźniów. „Bestialstwo oprawców niemieckich, które zwyrodnialcze podkreślało instynkty wyrzutków, zbrodniarzy […] stanowiących naszą władzę w Oświęcimiu – przejawiało się w najrozmaitszych odmianach” – konstatował Pilecki i wymieniał odmiany bestialstwa w wykonaniu kapo oraz esesmanów. Rozbijanie genitaliów drewnianym młotkiem; zakopywanie więźnia i obstawianie, ile człowiek przerwa bez tlenu; mordowanie zastrzykiem fenolu; kładzenie leżącemu więźniowi styliska od łopaty na gardle i wskakiwanie na trzonek itd., itp.

Pilecki nie bał się dawać sądów takich, jak te dotyczące chociażby Ślązaków, którzy – jak pisał – „kończyli Polaków, za swoich ich nie uważając, sami się mieli za szczep jakiś niemiecki”. Kiedyś rotmistrz zwrócił uwagę jednemu funkcyjnemu więźniowi, że bije Polaka, i zapytał, dlaczego to robi, na co usłyszał: „Ale ja Polakiem nie jest, jam Ślązak jest. Rodzie moi Polakiem mnie zrobić chcieli, ale Ślązak to Niemiec. Polak to w Warszawie mieszkać musi, a nie na Śląsku” – i kapo „bił tamtego kijem w dalszym ciągu”. Rotmistrz jednak przyznawał, że i wśród Ślązaków byli porządni ludzie, „gdy już się taki zdarzył, mogłeś mu życie swoje spokojnie zawierzyć, wierny to był twój przyjaciel”.

W raporcie przeczytamy, że Niemcy któregoś dnia powiesili skrzynkę pocztową, do której więźniowie mieli wrzucać donosy, choćby o podsłuchanych rozmowach. Za ważny donos więzień, który się pod nim podpisał, miał być nagrodzony. Od razu dali o sobie znać kapusie, zarówno tacy, którzy liczyli na nagrodę, jak i anonimowi, którzy najpewniej w ten sposób chcieli załatwiać swe osobiste porachunki.

Pilecki przyznawał, że śmierć w obozie, z każdym kolejnym dniem, tygodniem i miesiącem obojętniała. Wstrząsający jest fragment, w którym Pilecki pisze o więźniarskim placu targowym, na którym więźniowie kupowali od siebie margarynę czy tytoń, „nie widząc, że stoją tuż koło wielkiej kupy trupów nagich”, tylko „czasem ktoś nastąpił butem na nogę martwą, już sztywną, spojrzał: «Patrzcie! Stasio – no cóż. Dzisiaj jego kolej, moja może w przyszłym tygodniu»”. Pilecki, mając takie obrazy pod powiekami, wracał na noc do baraku, kładł się na pryczy, a „oczy tego małego chłopca, patrzące szukającym wzrokiem na nas… Długo mnie w nocy nie dawały spokoju”.

Pilecki niejednokrotnie może szokować czytelnika, na przykład fragmentem, w którym opisuje, jak do Auschwitz trafiło trzech jego znajomych z Warszawy. Gdy porozmawiał z nimi, okazało się, że w stolicy „nikt poważnie nie myśli o Oświęcimiu jako o placówce o pewnej sile aktywnej, że raczej mówi się o tym, że to już są wszystkie kościotrupy, których ratować nie warto, bo się nie opłaci.

GDY PILECKI TRAFIŁ DO UBECKIEJ KATOWNI, STWIERDZIŁ, ŻE „OŚWIĘCIM TO BYŁA IGRASZKA”.

Palitzsch, taki „przystojny chłopak”

Jednym z największych morderców w KL Auschwitz był esesman Gerhard Palitzsch, „którego sami esesmani bali się jak ognia”, „przystojny chłopak, który w lagrze nikogo nie bił”, za to masowo zabijał więźniów pod Ścianą Śmierci przy bloku 11. Pilecki opisał egzekucje z udziałem Palitzscha: „Skazani, w rzędzie, stawali nago przy «ścianie płaczu», on im kolejno przykładał małokalibrowy karabinek pod czaszkę z tyłu głowy i kończył im życie. Czasami do tego celu używał zwyczajnego bolca do zabijania bydła. Sprężynowy bolec wrzynał się w mózg, pod czaszkę i kończył życie”.

Czasami nudzący się esesman kazał biegać po dziedzińcu nagim więźniarkom, a on stał w środku i co chwilę, do którejś strzelał. Innym razem – jak raportował Pilecki, a o czym opowiedzieli mu koledzy – rozstrzelał całą rodzinę. Najpierw ojca, potem małą dziewczynkę. „Później wyrwał matce malutkie dziecko, które nieszczęśliwa kobieta tuliła mocno do piersi. Chwycił za nogi – rozbił główkę o ścianę. Wreszcie zabił matkę wpółprzytomną z bólu”. Zrobił to człowiek sam będący ojcem córki i syna.

Choć Pilecki miał pisać „suchy” raport, to wiedząc o potwornościach w obozie i je widząc, pisał frazy podobne do tych: „Zabrnęliśmy – kochani moi – zabrnęliśmy straszliwie. Straszna rzecz – bo nie ma na to słów… Chciałem powiedzieć – zezwierzęcenie… lecz nie! Jesteśmy od zwierząt o całe piekło gorsi. Mam pełne prawo tak właśnie napisać, szczególnie po tym, co widziałem…”.

Kilka lat później, gdy trafił do ubeckiej katowni, stwierdził jednak, że „Oświęcim to była igraszka”.

eprasa.pl 57937e552f

Jan Paweł Aeltermann,

Niemiec, męczennik hitleryzmu

21 maja 2026 roku w archidiecezji gdańskiej został otwarty proces **beatyfikacyjny** Sługi Bożego Jana Pawła Aeltermanna, niemieckiego kapłana katolickiego zamordowanego przez nazistów na początku II wojny światowej.

Agnieszka Żurek

Był Niemcem, który za opowiedzenie się przeciwko hitleryzmowi i w obronie wiary katolickiej zapłacił swoim życiem.

„Swastyka czy krzyż?”

Aeltermann urodził się w Gdańsku w roku 1876, studiował w seminarium duchownym w Pelplinie i tam także przyjął święcenia kapłańskie. Początkowo pracował jako wikary w Gdańsku i Starogardzie Gdańskim, a następnie został proboszczem w parafii w Mierzeszynie.

Nie było mu łatwo, bywał oskarżany przez Polaków o sprzyjanie Niemcom, a nawet o próby germanizacji polskich dzieci. Na łamach „Gazety Gdańskiej” został nazwany nawet „wrogiem Polski”. „W «Krzyżu», dodatku do «Pielgrzyma», napisano: «Zaznaczyć tu wypada i zajmująca jest ta okoliczność, że w czasach zaborczych ks. Aeltermann, który był kapłanem diecezji chełmińskiej, był znany z tego, że nie chciał się uczyć języka polskiego, potrzebnego nieodzownie w polskiej diecezji, a także z tego, że redaktorzy pism polskich, szczególnie redaktor ‘Pielgrzyma’ musiał miesiące całe odsiedzieć w więzieniu, skazany za rzekomą zniewagę ks. Aeltermanna, gdy ‘Pielgrzym’ wytykał mu wrogi jego stosunek do ludności polskiej. Był bowiem zaciekłym Niemcem, a dziś ci Niemcy, patrioci, udzielają mu ostrej nagany i ostrzeżenia pod względem ‘niemieckiego patriotyzmu’». Jak to się zmieniają dzieje!” – cytuje w swojej pracy naukowej nt. ks. Aeltermanna dr hab. Grażyna Gzella z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

O tym, że ks. Aeltermann nie był wrogiem Polski, opinia publiczna przekonała się w 1933 roku, kiedy kapłan na tydzień przed wyborami do Volkstagu (sejmu Wolnego Miasta), wydał broszurę „Hakenkreuz oder Christenkreuz?” (Swastyka czy krzyż Chrystusowy?), na łamach której skrytykował narodowy socjalizm jako radykalnie sprzeczny z religią chrześcijańską. Spotkały go za to represje ze strony nazistów, w 1935 roku został aresztowany za „obrazę kanclerza Adolfa Hitlera”, a niemieccy bojówkarze obrzucili kamieniami plebanię, na której mieszkał. Księdza Aeltermanna zwolniono z aresztu dzięki interwencji ówczesnego biskupa gdańskiego Edwarda Aleksandra O’Rourke’a, polskiego duchownego pochodzenia irlandzkiego. Mierzeszyński proboszcz nie skorzystał z oferowanej mu możliwości ucieczki, wolał pozostać ze swoimi parafianami. Bronił Polaków i Żydów, opowiadał się prze-

Fot. Wikipedia (2)

eprasa.pl 57937e552f

ciwko segregacji rasowej i eugenice, co poskutkowało oskarżaniem go o „wtrącanie się do polityki”. On sam podkreślał, że motywem jego działań jest jedynie Ewangelia. Nazistowskie bojówki ścinały stawiane przez niego krzyże, a ksiądz Aeltermann na ich miejscu stawiał nowe. Prześladowania mierzeszyńskiego proboszcza trwały przez całe lata 30., a po wybuchu II wojny światowej i wcieleniu Wolnego Miasta Gdańska do III Rzeszy został on aresztowany przez hitlerowców i rozstrzelany razem z grupą kilkudziesięciu Polaków, w tym dwóch księży katolickich. Jak mówili świadkowie, kapłan do końca pozostał wierny swojemu powołaniu, wspierając duchowo swoich współtowarzyszy niedoli. Księża zostali zamordowani jako ostatni z grupy aresztowanych, a wcześniej zmuszeni do wykopania sobie grobu.

Grób ks. dziekana Jana Pawła Aeltermanna

Na większą chwałę Bożą

– Sprawcami mordu byli miejscowi Niemcy. Ksiądz Aeltermann nie został zamordowany z powodów narodowych. Nie był Polakiem. Jednak ważniejszą od przynależności narodowej była wierność swemu biskupowi diecezjalnemu i papieżowi, co nieustannie podkreślał w swoich homiliach. Stąd też można powiedzieć, że zginął jako kapłan, obrońca wiary, Krzyża i godności każdego człowieka – podkreślił w edykcie rozpoczynającym proces beatyfikacyjny ks. Aeltermanna abp Tadeusz Wojda. – Po wojnie szczątki księdza Aeltermanna przeniesiono do grobu znajdującego się przy wejściu do świątyni w Mierzeszynie. Został pochowany w dniu swoich urodzin, 26 czerwca 1945 r., w asyście honorowej Wojska Polskiego. Obecnie, dzięki staraniom mieszkańców parafii, ksiądz Aeltermann jest patronem miejscowej szkoły podstawowej. Jest też plac i skwer jego imienia. Ksiądz Jan Paweł Aeltermann za wierność Chrystusowi i Jego Ewangelii doświadczył wiele szykan, cierpień, aż w końcu poniósł największą ofiarę. Dlatego, chociaż minęło 80 lat od zakończenia wojny, pamięć o nim przetrwała do dziś – wskazał metropolita gdański. – Zgodnie z wytycznymi prawa kanonizacyjnego po zapoznaniu się z dotychczas zebraną dokumentacją, zwróciłem się do Konferencji Episkopatu Polski o stosowną zgodę w tej sprawie. W dniu 15 października 2025 r. biskupi zgromadzeni na 402. Zebraniu Episkopatu Polski wyrazili pozytywną opinię dotyczącą rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego ks. Jana Pawła Aeltermanna. Następnie zwróciłem się do Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych z pytaniem, czy ze strony Stolicy Apostolskiej nie ma przeszkód w sprawie. Odpowiedź, która nadeszła w dniu 6 marca 2026 r., dała możliwość dalszego procedowania sprawy. W związku z powyższym postanawiam rozpocząć proces beatyfikacyjny ks. Jana Pawła Aeltermanna – w oryginalnej pisowni Johannesa Paula Aeltermanna. Zwracam się zatem z prośbą do wszystkich, którzy mają jakiekolwiek dokumenty, pisma lub wiadomości dotyczące księdza Jana Pawła Aeltermanna, które świadczą o świętości lub jej przeczą, bądź ujawniają ewentualne przeszkody w sprawie, aby zechcieli przekazać je bezzwłocznie do postulatora ks. kan. Łukasza Osińskiego na adres Kurii Metropolitalnej w Gdańsku, ul. Biskupa Edmunda Nowickiego 1, Gdańsk-Oliwa. Po sporządzeniu poświadczonej kopii oryginały pism zostaną zwrócone właścicielom. To wszystko niech się dokona na większą chwałę Bożą – zakończył edykt abp Wojda.

eprasa.pl 57937e552f

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

WIĘZIENNICY manifestowali w Warszawie

Fot. M. Żegliński

Funkcjonariusze Służby Więziennej manifestowali 10 czerwca przed Ministerstwem Finansów przeciwko planowanej obniżce świadczenia mieszkaniowego dla ich formacji.

W ocenie Solidarności zapowiadane przez rządzących zmiany dotkną około 16 tysięcy funkcjonariuszy SW i spowodują średnie obniżenie świadczenia mieszkaniowego o około 300 zł miesięcznie. Więzienników wspierał wiceprzewodniczący KK NSZZ „S” Bartłomiej Mickiewicz oraz szef Sekretariatu Służb Publicznych Andrzej Burnat.

– To dzięki wam, waszej determinacji udało się wywalczyć to świadczenie. Teraz jednak okazuje się, że ukradkiem, po cichu, nie nagłaśniając tego, chcą to świadczenie okroić. Dlatego musimy tutaj być i musimy pokazać tym polikom tam siedzącym, że nie ma na to naszej zgody – mówił na proteście Andrzej Kołodziejski, przewodniczący Solidarności w Służbie Więziennej.

Demonstranci przywieźli ze sobą do stolicy czerwone kartki pocztowe dla polityków. Na każdej z nich znajdowało się oświadczenie: „Żądam wycofania szkodliwych zmian w świadczeniu mieszkaniowym dla Służby Więziennej! Ja, funkcjonariusz Służby Więziennej, nie zasługuję na takie traktowanie!”.

W czasie manifestacji przedstawiciele Służby Więziennej udali się do Ministerstwa Finansów, by złożyć petycję wyrażającą ich sprzeciw wobec planowanych zmian w świadczeniu mieszkaniowym. Przekazali też klucz symbolizujący odpowiedzialność i codzienną służbę funkcjonariuszy.

eprasa.pl 57937e552f

Fot. M. Żegliński

„Propozycja podwyżki minimalnego wynagrodzenia o zaledwie 144 zł brutto to wyraz lekceważenia milionów polskich pracowników i ich rodzin. Rząd śmieje się ludziom w twarz, twierdząc, że taki niski wzrost pokryje rzeczywiste koszty życia”.

Piotr Duda, przewodniczący KK NSZZ „S”, Tysol.pl, 9 czerwca br.

NARADA O ŻŁOBKACH

Pracownicy żłobków zrzeszeni w Solidarności spotkali się w Łodzi, aby wypracować wspólne propozycje do projektu nowelizacji ustawy regulującej funkcjonowanie żłobków. Było to pierwsze tego rodzaju spotkanie, ale w planach są już kolejne.

W trakcie rozmów związkowcy poruszyli m.in. takie kwestie jak: przywrócenie zapisów dotyczących opiekuńczo-wychowawczego przygotowania pedagogicznego pracowników, wprowadzenie dodatkowego urlopu, uznanie niektórych schorzeń za choroby zawodowe, ograniczenie liczby godzin pracy, zmniejszenie liczby dzieci przypadających na jednego opiekuna czy utworzenie żłobków integracyjnych.

NOWA SEKCJA MŁODYCH

W Olsztynie zawiązała się Sekcja Młodych NSZZ „Solidarność” Regionu Warmińsko-Mazurskiego. W spotkaniu założycielskim, które odbyło się 8 czerwca, wzięły udział przedstawicielki krajowych struktur: Anna Ziętek oraz przewodnicząca Alicja Skowron.

– To był dzień pełen energii, motywacji i nowych planów. Cieszymy się, że młodzi z Warmii i Mazur dołączają do naszej solidarnościowej rodziny – napisali działacze z Krajowej Sekcji Młodych, dziękując przy tym Prezydium Zarządu Regionu, w tym szczególnie wiceprzewodniczącemu Krzysztofowi Krzyżaniakowi za pełną koordynację i wsparcie młodych związkowców.

Kolejne spotkanie Sekcji Młodych z Regionu Warmińsko-Mazurskiego NSZZ „S” planowane jest na 18 września.

„S” SPRZECIWIA SIĘ LEGISLACYJNEJ „WRZUTCE”

Partnerzy społeczni otrzymali do zaopiniowania projekt ustawy o wzmocnieniu stosowania prawa do jednakowego wynagrodzenia mężczyzn i kobiet za jednakową pracę lub za pracę o jednakowej wartości.

Solidarność alarmuje, że w projekcie znalazły się niepotrzebne i bulwersujące przepisy dotyczące Głównego Inspektora Pracy, które nie mają nic wspólnego z celem ustawy.

„Nie ma naszej zgody na bezczelną legislacyjną wrzutkę w wykonaniu Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej” – podkreśliło Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „S”.

„Szczególnie bulwersująca jest propozycja rezygnacji z obowiązku posiadania przez Głównego Inspektora Pracy wiedzy z zakresu działania Państwowej Inspekcji Pracy potwierdzonej egzaminem państwowym, co oznacza faktyczne obniżenie standardów stawianych osobie kierującej najważniejszym organem nadzoru nad przestrzeganiem prawa pracy i ochroną praw pracowniczych” – zaznaczyli w stanowisku związkowcy.

Wśród zaproponowanych wymagań wobec GIP wymieniono w projekcie: wiedzę z zakresu działania PIP oraz posiadanie co najmniej pięcioletniego doświadczenia w zakresie tworzenia lub stosowania prawa pracy.

– Ta zmiana pojawia się bez jakiegokolwiek przekonującego uzasadnienia merytorycznego. Nie wynika z dyrektywy unijnej, nie jest związana z przejrzystością wynagrodzeń i nie odpowiada na żaden realny problem. Powstaje więc pytanie: komu i czemu ma służyć takie rozwiązanie? – pytał przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „S” Piotr Duda.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

16–23.06.1983 – odbywa się II pielgrzymka Jana Pawła II do Polski;

19.06.1988 – Solidarność nawołuje do bojkotu wyborów do rad narodowych, co przekłada się na niską (w realiach PRL) frekwencję – ok. 56% głosujących (27% w Gdańsku);

19.06.1989 – w drugiej turze wyborów kontraktowych zwycięstwo odnieśli niemal wszyscy (z wyjątkiem jednego) kandydaci „S”;

22.06.1994 – Komisja Krajowa NSZZ „S” przyjmuje obywatelski projekt konstytucji, podejmuje uchwałę o zbieraniu podpisów pod projektem.

eprasa.pl 57937e552f

Za nami XXVII Spartakiada Przemysłu Spożywczego

Sekretariat Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa NSZZ „Solidarność" zorganizował już po raz dwudziesty siódmy Spartakiadę Przemysłu Spożywczego. Uczestnicy Spartakiady spotkali się w dniach 4–7 czerwca 2026 roku w Ośrodku Wczasowym Ostrów Pieckowski koło miejscowości Piecki. Podczas ceremonii otwarcia odegrano hymn Solidarności.

Krzysztof Suchecki

Fot. Mirosław Kościelniak

W Spartakiadzie wystąpiło ok. 420 uczestników z 15 zakładów pracy, którzy rywalizowali w 10 konkurencjach: piłka nożna mężczyzn, piłka siatkowa kobiet i mężczyzn, biegi przełajowe kobiet i mężczyzn, rzuty piłką do kosza, piłką lekarską i lotkami oraz sztafeta kobiet i mężczyzn, a po raz pierwszy odbył się także rzut kaloszem.

Spartakiada rozpoczęła się od biegów przełajowych pań – wygrała je Klaudia Kurek (Nordzucker), która wyprzedziła Paulinę Kuffel (Totalizator Sportowy) i Aleksandrę Reinholz (Zentis Polska). W rywalizacji panów złoto zdobył Sasza Kolesnik (Agryf Szczecin), srebro – Adam Dutkiewicz (Nestle Kalisz), a brąz – Krzysztof Sułowski (Animex Morliny).

Narodową dyscypliną Polaków jest piłka nożna. Rywalizacja w turnieju piłkarskim zakończyła się zwycięstwem drużyny Zentis Polska, za nią znalazły się Cukrownia Krasnystaw i Agryf Szczecin. W drużynowym rzucie do kosza zwyciężyła ekipa z Animex Morliny, wyprzedzając Animex Ełk i SPC Warszawa.

Wysoki był poziom finału siatkówki pań. Najlepszymi siatkarkami okazały się panie z Animex Morliny, wygrywając z Nestle Kalisz, trzecie miejsce zajęła drużyna Animex Ełk. Ponadto zawodniczki i zawodnicy rywalizowali w drużynowym rzucie lotką i po raz pierwszy rzucie kaloszem. Najcelniej lotką rzucali pracownicy Mieszko, Polmos Białystok i Animex Iława. Natomiast w rzucie kaloszem najdalej rzucali pracownicy Nestle Kalisz, Grupy Żywiec i Nordzucker.

W drugim dniu zawody rozpoczęli siatkarze w trzech grupach eliminacyjnych, rozgrywając mecze każdy z każdym. Do finałowej rozgrywki awansowały trzy drużyny. Poziom rozgrywanych meczów był wysoki, a rywalizacja niezwykle zacięta. Zwycięsko z tych potyczek wyszła drużyna Animex Morliny, w której składzie wystąpiły trzy panie i jeden pan, srebro zdobyli zawodnicy Nestle Kalisz, a brąz – Totalizatora Sportowego. Rzut piłką lekarską wygrała drużyna Nordzucker, wyprzedzając Totalizator Sportowy i Animex Iława. Duże zainteresowanie wzbudziła sztafeta zakładów pracy (slalom piłką pomiędzy pachołkami, bieg z piłeczką umieszczoną na rakietce oraz bieg i wrzucanie woreczków do wiaderka) – najlepsze czasy osiągnęły drużyny Animex Morliny, Agryf Szczecin i Nestle Kalisz.

W klasyfikacji generalnej zwyciężył Animex Morliny (24 pkt.), drugie miejsce zajęło Nestle Kalisz (20 pkt.), trzecie – Nordzucker (18 pkt.), czwarte – Agryf Szczecin (15 pkt.), a piąte – Zentis Polska (14 pkt.).

Drużyny, które wystąpiły na tegorocznej Spartakiadzie, to: Totalizator Sportowy, Grupa Żywiec, Mieszko Racibórz, Polmos Białystok, Animex Iława, Animex Ełk, Animex Morliny, SPC Warszawa, Cukrownia Krasnystaw, Agryf Szczecin, Nestle Kalisz, WZPOW Kwidzyn, Zentis Polska, Mowi i Nordzucker.

eprasa.pl 57937e552f

PRAWO

ZUS po latach żąda zwrotu świadczenia, CZY MA DO TEGO PRAWO?

Kilka dni temu dostałem z ZUS decyzję, z której wynika, że mam oddać prawie 28 tysięcy złotych świadczenia, które wcześniej normalnie mi przyznano i wypłacano przez kilka lat. Szczerze mówiąc, byłem w szoku, bo sprawa wydawała się dawno zakończona. Świadczenie zostało przyznane decyzją ZUS, pieniądze wpływały regularnie co miesiąc, **nikt niczego nie kwestionował**, a ja byłem przekonany, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem. Teraz, po kilku latach, ZUS twierdzi, że świadczenie było „nienależnie pobrane" i żąda jego zwrotu. Czy Zakład Ubezpieczeń Społecznych rzeczywiście może po takim czasie zmienić swoje stanowisko i domagać się oddania pieniędzy?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Z przedstawionego opisu wynika, że świadczenie zostało przyznane na podstawie decyzji ZUS po przeprowadzeniu postępowania i ocenie dokumentów przez organ rentowy. Przez długi czas świadczenie było wypłacane regularnie, bez żadnych zastrzeżeń czy informacji o nieprawidłowościach. Dopiero po kilku latach ZUS ponownie przeanalizował sprawę i uznał, że w części okresu świadczenie nie powinno być wypłacane, w związku z czym zażądał zwrotu około 28 tysięcy złotych jako świadczenia nienależnie pobranego.

Z perspektywy osoby zainteresowanej taka sytuacja często wydaje się trudna do zaakceptowania. Świadczenie było wypłacane na podstawie oficjalnej decyzji organu rentowego, a przez lata nie było żadnych sygnałów kwestionujących jego zasadność. Naturalnie pojawia się więc pytanie, czy państwo może po tak długim czasie zmienić ocenę sytuacji i zażądać zwrotu pieniędzy. W prawie ubezpieczeń społecznych punktem wyjścia jest zasada stabilności decyzji administracyjnych. Oznacza ona, że decyzje ZUS co do zasady powinny zapewniać pewność sytuacji prawnej ubezpieczonego. Nie jest to jednak zasada absolutna, system przewiduje możliwość wzruszenia decyzji oraz dochodzenia zwrotu świadczeń, które zostały uznane za nienależnie wypłacone.

Kluczowe znaczenie ma przy tym ustalenie przyczyny wypłaty świadczenia w nieprawidłowej wysokości lub w sytuacji braku uprawnień. Inaczej oceniane są przypadki, w których błąd wynikał z działania lub zaniechania ubezpieczonego, np. nieujawnienia istotnych informacji, a inaczej sytuacje, w których to sam organ rentowy błędnie ocenił stan faktyczny lub prawny. Istotną rolę odgrywa również zasada zaufania obywatela do państwa i jego organów. Jeżeli świadczenie było wypłacane przez kilka lat na podstawie decyzji ZUS, ubezpieczony ma prawo zakładać, że jego sytuacja została prawidłowo oceniona. Z tego względu każda decyzja o zwrocie musi być oparta na jednoznacznej podstawie prawnej i szczegółowo uzasadniona.

Podsumowując, ZUS może w określonych przypadkach żądać zwrotu świadczeń nawet po latach, jednak nie jest to uprawnienie dowolne. Każda taka sprawa wymaga precyzyjnej analizy podstawy prawnej, przyczyn powstania błędu oraz okoliczności, w jakich świadczenie było wypłacane i przyjmowane przez ubezpieczonego.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 57937e552f

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Marek Nowak (Najgorsi..., s. 28),
publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film to „Intersection".

Magdalena Okraska (Najbiedniejszym..., s. 5),
publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha!art) w roku 2022.

Sebastian Reńca (Planeta..., s. 64),
pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Wykidajło" ukazała się w roku 2025 (wydawnictwo Prozami). Jest to to historia pełna zwrotów akcji, w której wojna wdziera się wszędzie – w życie, sumienie i codzienność. Druga książka „Szuler", wydana w 2025 r. (wydawnictwo Arcana), to reportaż historyczny o „królu" Mojżeszu Merinie i jego poddanych żyjących w gettach Zagłębia Dąbrowskiego podczas niemieckiej okupacji.

Zygmunt Zaradkiewicz (okładka, s. 1),
rysownik z dorobkiem obejmującym ponad pół wieku pracy twórczej. Debiutował w 1972 roku na łamach „Szpilek". Opracował artystycznie i zilustrował kilkadziesiąt książek. W latach 2011–2014 był dyrektorem Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego w Warszawie. Dla nas rysuje od 2024 roku.

Marcin Żegliński (fotografia, s. 6),
latający fotoreporter „Tygodnika Solidarność". Jego prace znajdziecie w TySolu od 2009 roku. Sprawdzony zarówno w walce na łokcie na froncie sejmowym, jak i w oparach gazu łzawiącego podczas niejednej protestacyjnej zawieruchy.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 57937e552f

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

My mamy wspólne wartości, a Wy?

rasa.pl 57937e552f

WYCIECZKI Z PRZEWODNIKIEM!

HISTORYCZNA SALA BHP I STOCZNIA GDAŃSKA

POZNAJ WYJĄTKOWĄ HISTORIĘ TERENÓW STOCZNI GDAŃSKIEJ I MIEJSCA NARODZIN SOLIDARNOŚCI!

LICENCJONOWANY PRZEWODNIK

NIEZAPOMNIANE OPOWIEŚCI, KLIMATYCZNE ZDJĘCIA I WYJĄTKOWE DOŚWIADCZENIE

TAKŻE DLA RODZIN Z DZIEĆMI

Fundacja Promocji Solidarności

60–90 MINUT ZWIEDZANIA

CENA **20–30 ZŁ**

ZAREZERWUJ BILETY ON-LINE LUB KUP W SALI BHP

WWW.SALABHP.PL

eprasa.pl 57937e552f